

Kammena

LUBLIN 13 XI 1977 Nr 23 (639)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Władysław Broniewski

POKŁON REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ

Klaniam się rosyjskiej rewolucji
czapką do ziemi,
po polsku:
radzieckiej sprawie,
sprawie ludzkiej,
robotnikom, chłopom i wojsku.

Ta w ukłonie czapka — nie hetmańska,
bez czapłego nad otokiem pióra,
lecz więzienna, polska, kajdaniarska,
Waryńskiego czapka z Schlüsselburga.

My mamy sztywne karki,
klaniać się uczono nas długo,
aż urwał się kańczug carski,
aż wyleźliśmy spod kańczuga.

Klaniam się prochom Rylejewa,
klaniać się prochom Żelabowa,
klaniać się prochom wszystkich
rewolucjonistów.

Grób Lenina — prosty jak myśl,
myśl Lenina — prosta jak czyn,
czyn Lenina — prosty i wielki
jak Rewolucja.

Klaniam się mogiłom Stalingradu,
mogiłom Berlina i Moskwy —
my, po latach stalowego gradu,
na nich w przyszłość mościmy mosty.

Na rosyjskiej i na polskiej ziemi,
na ziemi krwi i miłości,
rosną kwiaty
— my je znajdziemy —
pośród poległych kości.



Ku czemu zmierza świat...

Zygmunt Mańkowski

*Historia to nic innego jak tylko
działalność dążącego do swoich
celów człowieka*

K. Marks

UPROGU nowej ery w dziejach nowożytnych świata — w połowie XIX wieku, gdy do życia budziły się nowe siły społeczne i nowe idee, Karol Marks zapytywał siebie retyorycznie: Czy rewolucje zasługują na tak wielki szacunek?... Czy należy uznać rewolucje za symbol ludzkości, która staje się panią własnych losów?...

Dzisiaj z perspektywy dziejowej znamy już odpowiedź na tę wątpliwość. Sam zresztą Marks określał rewolucje jako „lokomotywy dziejów” i wiązał z nimi wszystko co postępowe w dziejach ludzkich. Wierzył też, że są one jedyną szansą na poprawę stosunków w mrocznym i okrutnym świecie, pełnym konfliktów, upodlenia człowieka, krzywdy i bezsensu. Idee postępu w procesie dziejowym (polski socjolog L. Krzywicki określał je jako „sprężyny dziejów”) oraz przewrotów społecznych towarzyszyły

ludzkości od zarania dziejów. U podstaw poprawy stosunków społecznych leżały: postęp techniczny, marzenia i utopie, idee i bunty, ale przede wszystkim właśnie rewolucje, które współcześni socjologowie i politolodzy definiują jako przedłużenie ewolucji za pomocą innych środków lub jako ruch masowy, który przez zastosowanie siły łamie kontynuację prawa i tworzy nowe prawo dostosowane do rozwoju historycznego i jego tendencji. Nie są one idyllą, są „zaburzeniem” lecz w efekcie przynoszą one nowe, silne impulsy rozwoju, czyniąc życie na ziemi bardziej sprawiedliwe i korzystne dla coraz szerszych kręgów społecznych.

Po raz pierwszy w sposób w pełni uświadomiony ludzkość zetknęła się ze zjawiskiem rewolucji i jej doniosłymi skutkami w wieku XVIII, gdy „padła Bastylia”, a wielkie poruszenie społeczne obaliło przeżyte, zmurzałe stosunki feudalne. Przez całą Europę przeszedł wówczas ożywczy dreszcz nadziei. Rodziły się nowe idee, a „szturmujący niebo” wierzyli niezłomnie, że uczynią świat racjonalnym i sprawiedliwym. Tworzono wówczas nowe religie, nowych bogów, nowe kalendarze i nowe instytucje.

W tej atmosferze filozof francuski Condorcet z wiara i nadzieją snuł optymistyczne wizje: Wierzę w zdolność rodzaju ludzkiego do nieskończonego doskonalenia się i dlatego sądzę, iż rodzaj ludzki będzie na drodze ku pokojowi, wolności i równości, a więc na drodze ku szczęściu i cnocie czynił postępy, których kresu nie sposób oznaczyć. Jego postęp niezależny jest od wszelkich potęg, które chciałyby go zahamować. Jedynym kresem jest kres trwania globu, na który rzuciła go natura. Niewątpliwie postęp ten dokonuje się ruchem szybszym lub wolniejszym, nigdy jednak nie będzie to ruch wsteczny, przynajmniej dopóty, dopóki Ziemia zajmować będzie to samo miejsce w układzie wszechświata... Obraz rodzaju ludzkiego wyzwolonego z wszelkich łań, oswojonego z władzą przypadku i wrogów postępu, zdecydowanie zmierzającego ku prawdzie, cnocie i szczęściu, jakżeż jest wielką pociechą dla filozofa wobec ogromu błędów, zbrodni i niesprawiedliwości, które wciąż jeszcze kają ziemię i których ofiarą niejednokrotnie pada.

Dokończenie na str. 5

z notatnika

28 X. Wczoraj odbyło się posiedzenie Sejmu PRL. Sejm uchwalił doniosłą ustawę o zaopatrzeniu emerytalnym i ustaleniach świadczeń dla rolników. Premier Piotr Jaroszewicz wygłosił przemówienie, w którym przedstawił przedsięwzięcia zmierzające do realizacji zadań wynikających dla przemysłu, rolnictwa i innych działów gospodarki z uchwały IX Plenum KC PZPR.

Kilka cytatów z wystąpienia premiera:

● Rząd nasili kontrolę prawidłowości ustalania cen przez przedsiębiorstwa, organizacje gospodarcze i zjednoczenia oraz spółdzielczość. Stanowczo będzie się przeciwstawiał próbom osiągania przez nie zysków, czerpanych z podwyżek cen ustalanych w sposób niezgodny z obowiązującymi przepisami. Zyski te nie będą wliczane do podstawy ustalania wyższego funduszu płac, nagród i premii.

● Racjonalizujemy i ograniczamy wydatkowanie środków na import. Przestrzegamy zasady, by importować tylko to, co jest rzeczywiście niezbędne i aby z importowanych surowców i materiałów produkowanych towary o wyższych walorach jakościowych, odpowiadające wymaganiom odbiorców w kraju i za granicą. Niestety, często jeszcze wiele surowców i materiałów z importu marnuje się w różnych przemysłach i w procesie produkcji, obrotu i składowania. Musimy z tym definitywnie skończyć.

● Program rządowy przewiduje dalsze, stopniowe zmniejszanie obciążenia dochodu narodowego inwestycjami, pogłębienie przegrupowania środków, głównie na rzecz gospodarki żywnościowej i budownictwa mieszkaniowego oraz wzmocnienie przedsiębiorstw budowlanych. Dokonujemy tego drogą przegrupowania środków z innych dziedzin, bez powiększania ogólnej kwoty nakładów na inwestycje w całej gospodarce.

● Coraz energiczniej przeciwstawiamy się przejawom partycularyzmu w postawie resortów i branż, zakładów i lenonu, formułowaniu nadmiernych postulatów inwestycyjnych i importowych, tolerowaniu niedostatecznej jakości produkcji i budownictwa, antykonstrukcyjnych, głębszych zmian w strukturze produkcji. Przeciwdziałamy się stanowiącym zjawiskom zaniedbania i upiększania danych, przejawom wygodnictwa i nierzetelności. Nasilony obciążenie mienia społecznego, zaznaczone walkę z przejawami protekcjonizmu i kamoterstwa, a także zbytku i wystawności. Obok surowych kar za wykroczenia potrzebna jest tutaj intensywna działalność wychowawcza.

● Rzemieślnicy i drobna wytwórczość zbyt często absorbowani są zamówieniami gospodarki uspołecznionej. Będziemy stwarzać warunki pobudzające ich zainteresowania głównie zaspokajaniem potrzeb ludności.

● W rolnictwie czynimy ostatnio wiele, aby odbudować pogłowię. [...] Ale niełatwo jest odrobić w krótkim czasie skutki czteroletnich niepomyślnych warunków klimatycznych. Łącznie w okresie lat 1974—1976 niedobór produkcji rolnej — w stosunku do planów rocznych — wyniósł, licząc w cenach stałych z lat 1971—1973, około 70 mld zł. Rok obecny przyniósł najpoważniejszą stratę w rolnictwie, głównie w produkcji zbóż, rzepaku i ziemniaków.

● Wysiłkom rolników towarzyszy stała, narastająca pomoc państwa. Podwyższyliśmy zadania ilościowe i jakościowe wszystkim wytwórcom środków produkcji dla rolnictwa. Rekonstruujemy polski przemysł ciągnikowy. Remontujemy zakłady produkujące różnego rodzaju kombajny i inne maszyny rolnicze. Budujemy potężną Wrtwórnę Nawozów Azotowo-Fosforowych w Polench.

● Potrzeby kraju wymagają znacznej oszczędności niż wczoraj spojrzeliśmy na problematykę gospodarczą, a szczególnie na jakość pracy całej administracji państwowej i gospodarczej, ludzi nauki, techniki, kadry technicznej i ekonomicznej, majstrów, brygadzystów — wszystkich ludzi pracy w mieście i na wsi. [...] Nikt nie może uchylić się od krytycznego spojrzenia nawet na drobnej pracy. Nikt nie może zatrzymać się na drodze walki o coraz wyższą jakość i efektywność jego pracy i działalności.

● Jednym z najpoważniejszych obecnie zadań jest stopniowe zrównywanie warunków życia w mieście i na wsi. [...] Doniosłym krokiem w realizacji polityki społecznej było objęcie ludności rolnej powszechnym systemem bezpłatnej opieki zdrowotnej. Obecnie w myśl inicjatywy tow. Edwarda Gierka podjętej przez naczelne władze PZPR i ZSL, pragniemy dokonać drugiego historycznego kroku w dziedzinie poprawy warunków socjalnych ludności wiejskiej — wprowadzić system zaopatrzenia emerytalnego i innych świadczeń dla rolników i ich rodzin. [...] System emerytalny rolników wiążemy z rozmiarami i wzrostem produkcji sprzedawanych przez nich państwu w okresie wielu lat.

29 X. Dziś cała Polska żyje meczem piłkarskim Polska-Portugalia. Zwycięstwo lub remis naszej drużyny to paszport do Argentyny. Jeśli przegramy... Nie, lepiej o tym nie myśleć, bo Portugalia gotowa ostatni mecz z Cyprem wygrać tak wysoko, że przysną nasze marzenia o udziale w finale.

Po południu ulice miast, jak zwykle przy tego rodzaju imprezach, wyludniają się. Ludzie gromadzą się przy telewizorach i z napiętą uwagą śledzą przebieg meczu. Deyna dość niespodziewanie strzela gola, możemy odetchnąć, ale druga połowa meczu, gdy bardzo dobrze spisujący się Portugalczycy, nie mający nic do stracenia, a wiele do zyskania, wyrównują, w coraz większym stopniu staje się denerwująca. Końcowy wynik, remis przyjmujemy z ulgą. Deyna powitany w Chorzowie gwiazdami, staje się bohaterem dnia (a swoją drogą te gwizdy były przejawem chamstwa). Oklaski należą się jednak przede wszystkim Gmochowi, którego wysiłki nie zawsze były doceniane przez dziennikarzy sportowych. Oczywiście nasza drużyna piłkarska musi jeszcze sporo przed wyjazdem do Argentyny popracować. Mecze o puchar UEFA Górnik i Widzewa uwidoczniły wiele słabości. PSV Eindhoven wyraźnie pokazał, czym jest wyszkolenie techniczne wszystkich bez wyjątku zawodników. Wśród Holendrów każdy był Bonkiem. Jasne, że reprezentacja Polski to nie reprezentacja klubu. Ale ostatnie postępy drużyny portugalskiej muszą zastanawiać. Dość łatwo wygramy w Portugalii, w Polsce natomiast z ludem ziemiaswalnym. Portugalia w meczu z Danią też

w filmie 60-letni mężczyzna w trakcie oglądania obosu. Imy, 62-letni, dodaje: „O okresie swojej służby wojskowej chcę powiedzieć tylko tyle, że starałem się być szarym człowiekiem, ponieważ takich przede wszystkim zwalniał w końcu wojny”. Natomiast 22-letnia studentka z Monastyrza mówi: „Główne wrażenie wywarła na mnie wielka liczba zamordowanych tu w bestialski i nieczłowiecki sposób. Sądzę, że ta wizyta może stanowić wezwanie do jeszcze mocniejszego zaangażowania się politycznego”. O siedem lat starszy od niej mieszkaniec Bottrop wyraża jednak inny pogląd: „Nikt nie robiłby teraz o to tyle hałasu, gdybyśmy wygrali wojnę. Ale Niemcy wojnę przegrały i o tym się nieustannie przypominam, mówiąc, że Niemcy to świnie.” (1).

Film ukazuje również, jak np. Żydzi czy Cyganie, którzy przeżyli Oświęcim, mówią o swoich doświadczeniach z RFN. Wstrząsająca jest wypowiedź 52-letniego Cygana z Hamburga. Stwierdza on, że zdarzają się ludzie starszej generacji, którzy na widok Cygana reagują następująco: „Coś jest chyba nie w porządku. Czyżby Hitler o nim zapomniał?”

Zdaniem „Vorwärts” film Meyera „jest dziś szczególnie ważny i potrzebny w RFN. Dziś, kiedy młodzi i starsi naziści smarują na murach swastyki, niszczą żydowskie emmentary, kiedy powstają nowe prawicowo-radyczne grupy, kiedy w ich publikacjach zaprzeczają się zbrodniom faszystowskim. Film Meyera spełnia swoją rolę w czasie, kiedy nasilają się tendencje do negowania zbrodni narodowosocjalistycznych”.

3 XI. Przez dwa dni trwało w Kremlońskim Pałacu Zjazdów uroczyste posiedzenie KC KPZR, Rady Najwyższej ZSRR i Rady Najwyższej RFSSR poświęcone 60 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. W imieniu delegacji polskiej przemawiał I sekretarz KC PZPR, Edward Gierk. „Ze zwycięstwem Rewolucji Październikowej z Krajem Rad — podkreślił mówca — wiążą się nierozdzielnie przełomowe zmiany w losach narodu polskiego — odzyskanie niepodległości w 1918 roku, wyzwolenie spod jarzma hitlerowskiej okupacji i wkroczenie na drogę socjalizmu. Młoda władza radziecka, urzeczywistniając założenia leninowskiej polityki w kwestii narodowej, jednym z pierwszych swoich dekretołów przekreśliła traktaty rozbiorowe. Z rewolucją wiąże się chlubny rozdział w blisko stoletnich dziejach polskiego ruchu robotniczego. Tysiące Polaków — robotników, chłopów i żołnierzy — walczyło na barikadach Października i w imię solidarności klasowej paparło swych rosyjskich braci.”



7 km. w dniu 60 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, na Placu Czerwonym w Moskwie odbyła się defilada wojsk garnizonu moskiewskiego oraz tradycyjna manifestacja ludności.

Na zdjęciu manifestacja na Placu Czerwonym w Moskwie.

CAF — Pi — teletext

osiągnęła lepszy rezultat niż Polska, zwiększając, że bramki strzelone na wyjeździe liczą się podwójnie. A więc nie wolno nam się uspokajać. W Argentynie trafimy na silniejszych przeciwników niż Portugalczycy czy Duńczyki. Szczęście, że czasu jeszcze sporo.

30 X. Zachodniomiemieckie pisma „Vorwärts” i „Die Tat” piszą o trzydziestoletnim filmie dokumentalnym Alvana Meyera, nakręconym w 1976 r., pt. „Wycieczka do Oświęcimia”. Film ten ukazuje, jak różni ludzie z RFN reagują na konfrontację z byłym hitlerowskim obozem koncentracyjnym — Oświęcim-Brzezinka. „Po prostu nie wiedzieliśmy, że coś takiego działo się w okresie tego zjadawczego wynaturzenia” — stwierdza

Leonid Breżniew w swoim wystąpieniu smółki nie tylko epokowe znaczenie Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, nie tylko przedstawił osiągnięcia ZSRR, ale i wysunął dwie propozycje o doniosłym, międzynarodowym znaczeniu. Dotyczą one porozumienia się w sprawie jednoczesnego zaprzestania przez wszystkie państwa produkcji wszelkich rodzajów broni jądrowej oraz porozumienia w sprawie tego, aby równocześnie z wprowadzeniem na określony czas zakazu wszelkich prób z bronią jądrową ogłosić moratorium na wybuchy jądrowe przeprowadzane w celach pokojowych.

Mówiąc o stosunkach z USA, Leonid Breżniew powiedział: „Nasze krzyże wielkie dzieje — od ustroju społeczno-gospo-

darczego do Ideologii. Nie wszystkim w USA podobają się nasze propozycje, a również my moglibyśmy wiele powiedzieć na temat tego, co dzieje się w Ameryce. Gdyby jednak klasa naciskała na różnice i starała się wzajemnie poznać, to wynikiem będzie jedynie narastanie nieufności i wrogości, niekorzystne dla obu naszych krajów i niebezpieczne dla całego świata. U zarania państwa radzieckiego Lenin ostrzegł ówczesnych amerykańskich przywódców — czy im się to podoba czy nie — Rosja Radziecka jest wielkim mocarstwem, że Ameryce niczego nie da wilsonowska świętoszkowata polityka odmowy utrzymywania z nami kontaktów dlatego tylko, że nasz rząd im się nie podoba. Było to słusze pół wieku temu. Tym bardziej słusze jest obecnie. Samo zresztą wymaga, żeby decydujące w stosunkach radziecko-amerykańskich były względy natury długofalowej podjętowane troską o pokój. My takiej linii się trzymamy i oczekujemy tego również od drugiej strony.”

W dniach rocznicy Wielkiego Października ponownie sięgam do znakomitej książki László Gyurko pt. „Lenin — Październik”, która przed kilkoma laty ukazała się nakładem PIW-u w przekładzie Tadeusza Olszafskiego.

Lenin... Ile skromności miał ten Człowiek! „Gdy — pisze autor — na IX Zjeździe Partii uroczyste obchodzono jego pięćdziesiąte urodziny, cierpiąc wysuchał dwóch przemówień z życzeniami, a potem wstał i poprosił, aby przerwać dalsze tego rodzaju wystąpienia i powrócić do tematu Zjazdu. A kiedy obronił mimo to kontynuował uroczystość, Lenin opuścił salę obiad. Po tem poprosił do telefonu przewodniczącego, Piotrowskiego, i zażądał kategorycznie, aby natychmiast przerwać tę komedię; nie wrócił na salę, jeśli nie zaprzestaną wygłaszania urodziniowych przemówień.” O tej stronie mówi również list, jaki przy końcu 1922 roku wysłał do siostry: „Kochana Anuś! Stała się rzecz następująca: okazało się, że ta książka jest z Akademii Socjalistycznej, skąd nie wolno wydawać książek do domu! Dla mnie zrobiono wyjątek! Wpadło to niezgodnie — naturalnie z mojej winy. Teraz trzeba szczególnie skrupulatnie dopilnować, żeby Gwa (wychowanka siostry Lenina — przyp. autora) szybko i w domu książkę przeczytała i zwróciła.”

Jakże wiele my, współcześni, możemy się od Lenina nauczyć... Premier Jaroszewicz mówił (patrz cytat wyżej) „Zastrzyżmy walce z przejawami protekcjonizmu i kamoterstwa, a także zbytkiem i wystawnością...”

4 XI. Własne podwórko. Sprawodawczo-wyborcze zebranie lubelskiego oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Oddział liczy dzisiaj 130 eskonów, w tym 28 kandydatów. Pożądano to brzoła, toteż klub „Nara” stał się zbliżony — zebranie odbyło się w nieoficjalnie przekazany do użytku Klub MFK na LSM-ie. Wśród zaproszonych gości przedstawiciele władz województwa naszego regionu, niestety nie wszyscy województwa dopisali. Obrady trwały ponad sześć godzin, z tego ponad połowę zajęła dyskusja, która zaczęła się rękoczynem wówczas, kiedy czas wypowiedzi skrócono do pięciu minut. Główny, jak zwykle przy tego rodzaju okazjach, był zekawo i nudno, nie brakuło i akcentów demagogicznych (a może ścisłej — akcentu). Dwóch przewodniczących obrad nie zawsze umiało zapanować nad sytuacją. Skutek był taki, że kilku pierwszych mówców mogło wygraść się do woli, a późniejszym odbierano głos w połowie zdania. Należka na przyszłość — klo pierwszy, ten lepszy. Szkoda, że w obradach nie uczestniczyli dwóch redaktorów naczelnych, chociaż może ich obecność znacząco by wyrowniała krytyczną. Młodzi starali się, że nie bardzo wiedzą, jak ma się do doktryny. My, starsi, mieliśmy aż za wiele form różnego rodzaju cokolonia. Chociażby widać mi się jednak, że najważniejsze jest samostanowienie, dobieranie odpowiedniej lektury. Młodym a derton pisać gotów jestem kilka interesujących książek przeczytać. Ale do brze, że jeden z młodych mówił o tym, jak to niektórzy dziennikarze zniechęcają materiały, ograniczając się do rozmowy z dyrektorem i natulać jego myśli. „Niech taki podnieść zed własnym dyrektora, a nie siebie”. Słusznie, ale wówczas dyrektor zainicjuje wywiadke.

W zebraniu uczestniczyła przedstawicielka miesięcznika „Prasa Polska”. Zobaczmy, jakie będą jej wrażenia. Może są takie: powinniśmy się częściej spotykać i szerzej mówić o realnych środowisku dziennikarskich problemach. A na samych łosach warto się od czasu do czasu nakłócić, żebyśmy nie zapomnieli siebie i czytelników.

— Działa obu kanonierek kierujemy na wybrzeże, no i bijem, cholera, bijem! Strzelamy i strzelamy. A stamtąd tylko z ciężkich karabinów maszynowych do nas, bo armat nie mają! Nasze pociski po porcie, a ich kule bzykają po wodzie i dopóki my odpowiednio daleko ustawieni nie nam zrobić nie mogą!

DO tej bitwy w porcie bierdiańskim Mikołaj Krupka będzie jeszcze kilka razy w naszej rozmowie powracać. Kiedy o tym mówi dziś, po pięćdziesięciu osmiu latach, jeszcze go boli, na nowo odczuwa — widac to wyraźnie — zawód. Mimo osiemdziesięciu lat, które ukończył 6 grudnia, w dniu swojego patrona, nie umie mówić ze mną o wydarzeniach sprzed sześciu dziesiątek lat ze spokojem. Ujawnia się wtedy jego temperament, ten sam, który utrwalił się w oczach młodego matrosa czarnomorskiej floty na starej fotografii. Oglądamy poźółtkie nieco zdjęcie zrobione razem z współtowarzyszami tamtych zmagani.

— Ze mną są Sybiraki: o, to Sybiraka, to Sybiraka, tu ja, a ten to z tambowskiej guberni. Dobrzy koleżdy byli i przez te trzy lata wciąż razem na tej samej kanonierce my służyli. Oj, to lata już są. To są lata. Ja teraz nie wszystko pamiętam. Zdarzenia z młodości bardzo dobrze, ale nazwiska wylatują z pamięci. Ja mam teraz w głowie parowóz pod parą. Czasem niewiele słyszę, co kto mówi. Taki gwizd, towarzyszu, jak parowóz, kiedy stoi pod parą, tak syczy. No i serce, ono też już słabe i niepewne. To byli Sybiraki, a jak bić się potrafili, a jakie w nich było zapamiętanie przeciw caratowi, przeciw białym generalom!

Słyszę wiele nazw, które teraz kojarzą się przede wszystkim ze słonecznym Krymem, z najpiękniejszymi uzdrowiskami u wybrzeży Morza Czarnego i Azowskiego. Znajdowali się w rejsie patrolowym na wysokości Batumi, kiedy telegrafista przechwycił wiadomość od Marynarki Bałtyckiej: car został obalony! Możliwie najszybciej zawinęli do macierzystego portu, w tym samym miesiącu, w którym znajdowała się jego szkoła marynarska — w Sewastopolu. Wtedy ujawnił się komitet komórki partyjnej bolszewików, powstała żołnierska rada, zrywano sobie i oficerom epolety, dotychczasowe oznakowania. To był bunt, to było przyłączenie się do dalekiej północy.

— No i wyszliśmy do miasta na pochód! No i my idziemy! Cywile i wojsko. Ludzie dosyć mieli tego caratu! Caryzm, to była dyscyplina, to było trzymanie za mordę, to było duszenie głów biedoty do ziemi, w pokłonie trzeba było być i na bacznosc stać, nie było wolności ani dla Rosjan, ani dla żadnego narodu, bo wszystko trzymane było pod knutem! No, ale jeszcze po nas zandarmy z karabinów maszynowych, dwóch żołnierzy pada, a my na nich i okrażamy ich, i wybijamy, no i znowu idziemy przez miasto: wojsko i cywile, wojsko i cywile! Marynarska orkiestra gra Marsyliankę. To człowiek szedł, tak go niosło lekko, no, w powietrzu go niosło, jakby na skrzydłach, z takim zadowoleniem szedł przed siebie. No i my idziemy, i już taka radość jest w nas, taka pewność, że to, co potajemnie się mówiło w komórze partyjnej, co między sobą żołnierze przedtem w strachu sobie szeptałi, teraz można wykrzyknąć na cały Sewastopol, na całą Rosję. Tak się szło, że człowiek nie odczuwał, że po ziemi idzie. Z takim zadowoleniem, z taką energią maszerowało się, bo nadzieja się spełniła, bo to, co serce chciało od dawna, już się w Piotrogradzie do konało. No i w tym miesiącu, przez które maszerowaliśmy, wymiataliśmy ostatnie ślady carskich porządków. Tak nam się wydawało, towarzyszu, byli my tego w tamtym lotowym dniu pewni i dlatego tak dobrze nam się razem szło przez główną ulicę. To się nie da tego opowie dzieć, co się wtedy w człowieku działo, co się odczuwało.

— W takich momentach Mikołaj Krupka jest niezwykle sugestywny. Do jego mieszkania przy ulicy Lipowej w Lublinie przybliżają się tamte chwile tak bardzo wyraziście, jakby nie słowem były ukazane, ale malowane obrazem, ożywioną fotografią. A po chwili wszystko przygasa, gdy — cofając się w czasie — mowa o roku piętnastym naszego stulecia, o zbliżającym się froncie niemiecko-rosyjskim pod Parczewem, o Kozakach, którzy z bezwzględnością ewakuowali ludność rodzinnego Uhnina, o tym, jak on niespełna osiemnastoletni chłopak wraz z sześciolatnim bratem i matką przemierzają furmanką bezkresne tereny Białorusi i Rosji. Ojciec musiał jeszcze jakiś czas zostać w rozóranej okopami wsi. No, a matka, ona im

zmarła i gdzieś po drodze została pochowana. Potem pociąg i tambowska gubernia, wreszcie kilkumiesięczna ucieczka do Moskwy, by stamtąd ostatecznie osiąść u dalekich krewnych w Odessie i uczyć się zawodu w fabryce wag, doczekać się powołania do wojska, do marynarki właśnie. I znowu powrót do czasów po tamtym radosnym lotowym dniu. Smutek miesza się z odczuwaną nadzieją, co nie wygasta, ale którą wypadki mogły w nich zadusić. Oficerowie znowu odzyskują władzę, pod nowymi sztydami panują stare porządki, trochę tylko zlagodzone. Mikołaj Krupka określa tamten okres krótko: oddechu tylko trochę człowiekowi zostawił, było to inaczej, ale nie było dobrze.

Całe miesiące kanonierka K-2, na której służył, pływala wzdłuż wybrzeży

Coraz częściej szło się do przodu

Morza Czarnego, kiedy znowu z północy nadeszły podniecające wiadomości. Inne już niż te mylące z lutego, całkiem inne od tych z lipca. Tamtego października, a według nowego kalendarza 7 listopada, dotarła depesza jednoznaczna: Lenin, bolszewicy u władzy, upadek rządu tymczasowego. I znowu zdejmowanie epoletów, wyganianie zienawidzonych oficerów, oprócz jednego, do którego nikt nie miał większych zastrzeżeń, pełna władza rady żołnierskiej. I wreszcie dzień, kiedy trzeba było pożegnać się z Morzem Czarnym, z tą wodą, po której przez przeszło dwa lata pływali z towarzyszami. Oto prośba od rady delegatów i robotników fabryki zbrojeniowej w Bierdiańsku, że władza radziecka tam w niebezpieczeństwie. Była to wiosna 1918 roku, sam Sewastopol obawiał się natarcia ze strony kontrrewolucyjnych oddziałów. Wysłano więc na Morze Azowskie tylko kanonierki K-2 i K-3 oraz handlowy statek z osiemdziesięciu krasnoarmiejcami. Takimi wątłymi siłami mieli wzmocnić jednostki znajdujące się na tamtej wodzie, z nimi mieli dać odsiecz zagrożonym portom i miastom. Przepłynęli więc Kercz i Cieśninę Kerczeńską, na wprost całą mocą przecieli morze i pragnęli zawinąć do bierdiańskiego portu. Ale tam na statkach handlowych białe flagi: Krasnow panował już w tych okolicach, rozszerzył swoją władzę na wybrzeżach Morza Azowskiego.

— I zaraz podplynęła do nas łódź motorowa. Delegacja, dwóch w cywili i jeden oficer. Powiadają: miasto się nie podda, a wy, jeżeli chcecie wpłynąć i do nas się przyłączyć, to zdejmcie czerwona flagę, nie wam nie będzie, dołączycie do nas.

Tak oni bezczelnie do nas, taka pewność w nich była. No to w nas gniew się rodził wielki, że oni tak przeciw ludowej władzy i nas jeszcze do białych namawiają. Przewodniczący naszej rady powiada w imieniu wszystkich: — My wejdziem do portu, bo taki mamy rozkaz, ale wy musicie opuścić białe flagi i nasz kolor wywiesić! Nadpłynię tu wnet dużo okrętów — kłamie i

ich straszy — i po co wam ginąć po nie-dobrej stronie!?

Na to oni znowu: Bierdiańsk się nie podda, bo ma siłę. Jak chcecie, dołączcie do nas! No, i odpłynęli na brzeg. Podplynęliśmy bliżej portu. Trzeba zdobywać bojem! Oj, niedobrze! Nie wiemy, jaka u nich naprawdę siła, a swoją znamy, że mała. Ale podplywamy bliżej portu. Działa na obu kanonierkach kierujemy i strzelamy! Bijem, cholera, po porcie, bijem. Strzelamy i strzelamy! A stamtąd tylko z ciężkich karabinów maszynowych, bo armat chyba na brzegu nie mieli. Statek handlowy z czerwonoarmistami podejodzi też bliżej, dajemy mu osłonę z naszych dział i z karabinów maszynowych, ale tamci od brzegu też są zawzięci. Piechota chce wyjść na ląd, ale nie mamy łodzi desantowych, nie mamy, żeby im pomóc. To oni różnymi sposobami, skaczą po innych statkach, albo wprost do wody i płyną, żeby osiągnąć ziemi. Jedni giną, a inni wychodzą i zajmują kawał portu. A działa z obu kanonierek taką im osłonę robią, no, tak strzelamy, żeby pociski padały wcześniej, wyprzedzali ich o parę metrów. I wciąż tak nasi kanonierzy biją z tych dział, żeby naszym przetrzeć drogę i aby następni mogli za nim iść i rozszerzać się, a potem żeby razem wejść do miasta, bo nam się



Mikołaj Krupka

Tadeusz Jasiński

wciąż wydawało, że ich sja taka duża, jak mówili, nie jest. Ale chyba było ich wielu, bo ustępowali wolno.

I kiedy już się wydawało, że będzie dobrze, to przy naszym działie pękła sprężyna. Nieszczęście, koniec, już my tylko z karabinów maszynowych, już my dla nich nie groźni, a sama jedna K-3 za nas zadania nie spełni. Tak to było rozstawione, no, w dwa ognie my ich brali i piechocie było lżej. I wtedy tamci w porcie powychylali lby z zakamarków i na naszych, no, i piechotę naszą czerwona spychają do morza. Zbieramy ich na statek i na kanonierki, bo rozkaz jest, żeby jednak odpłynąć w morze, bo szkoda ludzi, bo ważniejsze jest, żeby dopilnować innych portów i miast, dać tam pomoc rewolucyjnym komitetom. I smutno nam wtedy było, że trochę naszych na brzegu zostało, że kilku w morzu utonęło.

— Jak się zwyciężało, to człowiek czuł się bardzo dobrze, ale jak widział, że biali biorą górę, albo przepędzają, to upadał na duchu. Ale poczuwał się, żeby nie dopuścić do całkowitego ich zwycięstwa, żeby nie dopuścić do najgorszego, tylko do ostatek, żeby samemu zwyciężyć. Bo to było: życie, albo śmierć! To przed wojną, kiedy ja wróciłem, też tak było, no, prawie tak samo. W Uhninie w dwudziestym roku wszystko prawie było zniszczone przez fronty. Ja nie mówiłem, że brałem udział w rewolucji, ale i zameldować się bałem. To kiedy mnie zabrali do aresztu w Białej Podlaskiej, po pytaniach zaraz wiedziałem, że mnie podejrzewają. W końcu ustalili, że mój rocznik jest na wojnie i zaraz mnie do wojska. Ja zacząłem wtedy szukać partii i partii mnie poszukiwała, bo wiedzieli towarzysze, że ci, którzy stamtąd przyjechali tak późno, to po części należeli do czerwonych. Zostałem znowu przyjęty i w Parczewie byłem dzielnicowym kolporterem bibuły. A potem byłem aresztowany, bo jeden szpaczek się znalazł: bili go, maltretowali i wyspał, to było w dwudziestym czwartym. W Białej Podlaskiej sześć lat dostawałem, ale w apelacji zdjęli mi dwa. Zonę to poznałem przez towarzysza, do Józefa piślała siostra i do mnie

czasem dobre słowo w listach było. Też pisałem i tak te listy krążyły między Siedlicami a jej domem. I to było dobre, bo jej myślenie było takie, jakie potrzeba. Ale i w Argentynie, gdzie szukałem chleba, i potem w moich stronach — i kiedy w trzydziestym piątym znowu trzeba było posiadzieć — człowiek taką samą miał w sobie zawiąrdziałość, jak wtedy w walce z kontrrewolucją. To samo po wojnie, gdy byłem komendantem gminnym MO w Dębowej Kłodzie, kiedy banda dwa wyroki na mnie wydała, albo potem w służbie bezpieczeństwa, to było wciąż tak samo: albo my ich, albo oni nas! Ta sama sprawa.

Mikołaj Krupka wraca jeszcze do dawnych wspomnień... Po wycofaniu się z Bierdiańska próbowaliśmy osadzić się w przeciwległym Jejsku, ale i tam już byli biali. W końcu we władaniu Czerwonej Armii pozostała jeszcze Zatoka Taganrońska. Nie na długo. Marynarze i piechurzy z tych trzech pływających jednostek walcnie pomogli się utrzymać załozde Taganrogu, brali nawet udział w ulicznych walkach. Ostatecznie jednak zabrali na swoje kanonierki i statek radę delegatów i czołowych przywódców. Trzeba było oddać także i to miasto. Było wiadomo, że powrotem na Morze Czarne już nie ma, bo Kercz zajęty i przez Cieśninę Kerczeńską się nie przecisną. Jeszcze tylko Mariupol (dzisiaj Zdanow) walczył, jeszcze się nie poddał, a stamtąd prowadziła linia kolejowa w stronę Rostowa. Lejtnant uciekł. Uehwalili więc zgodnie z rozkazem najwyższym zatopić obie kanonierki w tym ostatnim porcie. Z honorami to czynili, płakali, bo wiedzieli, że od tej chwili — chociaż są w marynarskich mundurach — stana się tylko piechurami. A w Rostowie zaraz włączeni zostali do ulicznych bojów. I od tego czasu przypadła im już wciąż walczyć w szerokim pasie między Rostowem a Caryncym, dzisiejszym Wolgogradem. Nazwiska Kołczaka, Denikina i Krasnowa po tamtej stronie, a po tej, którą wybrał Mikołaj Krupka, pojawiali się nazwiska Stalina, a najczęściej Budionnego, bo ich oddziały były teraz pod jego rozkazami. No i wiadomości docierały, że osiem polskich czerwonych pułków i jeden warszawski pułk kawalerii po tej samej stronie się biją. Do nich jednak było daleko. Walki z tamtego czasu Michał Krupka charakteryzuje następująco:

— To była wojna wprost partyzancka, no, prawie tak samo, jak partyzancka. Tylko, że jak w czasie ostatniej wojny byłem w Gwardii Ludowej, to my więcej w lesie, albo nocą, a nie na otwartym polu. A wtedy, to było i po wojskowemu, i po partyzancko. Groziła człowiekowi w każdej chwili śmierć, jednym trzeba było uciekać, a drugim gonić. I z nami tak było, że raz się cofaliśmy, to znowu Budionny nacisnął mocniej, zebrał siły i wtedy my ich gonili aż za Dniepr i dalej, ile się tylko dało. I to była znowu ta radość w nas i pewność, że jednak w końcu zwyciężymy, chociaż już wtedy 14 państw się przeciw Rosji Radzieckiej szykowało. Myśmy byli pewni, że Polska będzie socjalistyczna, no, może, że w Niemczech najpierw, bo tam też wszystkiego mieli dość. Wydawało się, że będzie rewolucja światowa, że pojedziemy przez całą Europę, tylko jeszcze pokonamy tę przeszkoję, co przed nami. Duża wiara w nas była. Ile tu miast by wymienić trzeba, gdzieśmy szli tam i z powrotem, zwyciężyli nas, a my znowu. To wszystko, co jest na mapie w tamtych stronach na piechotę, albo na pociągu przeciwpancernym przebyłem. W Nowoczerkasku byłem dość długo, a nie wiedziałem, że tam w sierocińcu mój brat przeżywa. Taki los. W nas różne myśli były, różne i niespokojne, ta świadomość jednak nie z książek była, ale z tego, co człowiek przeżył, co ocy widział. Biali brali wieś i kładli na ławę chłopów, wyciorami od karabinów zasiepalili na śmierć za to, że usłuchali dekretu o ziemi, i tak sobie jeszcze bardziej naród przeciw sobie urabiali. Drugi front się tworzył, ludzie szli pod nasze sztandary i było nas coraz więcej. Myśmy wchodzili do takiej wsi i ten chłop z tutoru, który widział taką kaźnię, szedł z nami. I wtedy miejsce poległych zajmowali ci nowi. I znowu się szło do przodu, z większymi siłami. I to zwycięstwo przyjsć musiało. Inaczej nie mogło być, chociaż taka siła była przeciw nam, chociaż cały świat kapitału stał białym pomoc. Prawda wychodziła na wierzch, ona do głosu coraz bardziej dochodziła.

— Myśmy śpiewali Międzynarodówkę i różne nowe pieśni, i dobrze się szło, bo coraz częściej do przodu.

za BUGIEM

W PRZESTRONNEJ pracowni, w której stoły i biurka pokryte są wielkimi kartonami przypominającymi ni to obrazy abstrakcyjne, ni to barwne rysunki techniczne, artysta-plastyk Nikołaj Nikołajewicz Stieblenko opowiada o miejscowym środowisku plastycznym a zarazem wrowadza mnie w arkania sztuki projektowania różnorodnych kobierców, których produkcją zajmuje się brzeska fabryka dywanów.

Dwa miesiące trwa opracowanie projektu plastycznego. Bardzo często nawiązuje się do starych motywów dywanów armeńskich, azerbejdżańskich, kilimów białoruskich lub ukraińskich. Projektantów inspirowała sztuka ludowa licznych narodów Związku Radzieckiego, nierzadko sięgają do elementów malarstwa starocerkiewnego. Właśnie dlatego każdy plastyk-projektant wysyłany jest raz na dwa lata w miesięczną podróż szkoleniową dla zapoznania się ze sztuką wybranego regionu Związku Radzieckiego. Dlatego też przysługuje mu jeden „twórczy dzień” w tygodniu, wolny od pracy. Dzień ten przeznaczony jest na odwiedzanie muzeów, bibliotek, instytutów sztuki, na indywidualne studia tematu w zaciszu domowej pracowni.

Kiedy projekt został już wykonany i zatwierdzony, w brzeskiej fabryce dywanów przystępuje się do opracowania szczegółowego rysunku technicznego w wielkocei naturalnej. To znów trwa dwa miesiące, aż wreszcie następuje ostatnia faza przygotowania: zaprogramowanie projektu na system komputerowy, który następnie sam już czuwa nad pracą krosien.

Idąc zawieszonym u sufitu ogromnej hali długim, przeszklonym pasażem, widzi się dziesiątki wielkich maszyn tkackich, a wśród nich strumienie kolorowej przędzy poślusnie podążające za ruchem czółenek. Przy maszynach młode dziewczęta, usuwające na poczekaniu drobne usterki. Ale właściwym procesem tkackim kieruje elektronika: nad maszynami kołusza się szerokie pasma perforowanej taśmy z zapisem wzoru i barw.

W 1970 r. brzeski kombinat wyrobu dywanów zjednoczył się z fabryką tkanin sukienicznych i od tego czasu nowoczesne hale produkcyjne przy ulicy Janki Kupaly rozrastają się, a produkcja z każdego roku nabiera rozmachu. Teraz pracuje tu 1800 osób, zespół jest młody (przeciętny wiek — 23 lata), 80 proc. zatrudnionych stanowią kobiety. W tym roku wyprodukowano 1 725 000 m. kwadr. dywanów. Ale za cztery lata będą tkali 5 milionów metrów, zostaną wzniesione jeszcze trzy wielkie hale i wtedy brzeska fabryka stanie się jedną z największych wytwórni dywanów w Związku Radzieckim. Będą dużo produkowali na eksport — już w tym roku eksportowano pierwsze wyroby do Bulgarii, Czechosłowacji, Zambii i Arabii Saudyjskiej. Pracownicy zarabiają tutaj przeciętnie 145 rubli miesięcznie — mówi Nikołaj Stieblenko. Zakład buduje własne bloki, ma salę widowiskową, obiekty sportowe, ośrodek rekreacyjno-wypoczynkowy i obóz pionierski. Zakład chłubi się odwiedzinami Leonida Breżniewa i Aleksieja Kosygińa w 1974 r., a niemal za swego honorowego obywatela uważa kosmonauta Piotra Klimuka wywodzącego się z tułajskich okolic.

Ostatni raz byłem tutaj przed siedmiu laty i teraz Brześć jest dla mnie zupełnie innym, nowym miastem. Już przy samym przekroczeniu granicy — zaskoczenie. Zachodnia „brama Związku Radzieckiego” wita nas dzisiaj szerokimi, kilkupasnowymi, asfaltowymi rozjazdami, w których centrum widnieje wielki, nowoczesny budynek odprawy paszportowej i komory celnej. I od tego miejsca wrażenie owej inności, „nowości” Brześcia utrzymuje się już przez cały czas: kiedy wjeżdża się na prowadzący do miasta szeroki Bulwar Szewczenki, przy którym rozsiadł się siedmipiętrowy hotel „Białoruś” o 560 miejscach, lub kiedy skręca się w zielony, rozległy prospekt ulicy Moskiewskiej wiodącej do Brzeskiej Twierdzy-Bohatera.

Na obszernym placu po lewej stronie ulicy Moskiewskiej, tam gdzie jeszcze niedawno ciągnęły się przysadziste, ceglane budynki, dawnego centrum targowego, wznosi się wielopiętrowy, przeszklony gmach centrali telefoniczno-telegraficznej, a dalej — rozległy kompleks handlowy, interesujący od strony architektonicznej i urbanistycznej. W niższej części centrum handlowego, wielki super-sam spożywczy, na pierwszym i drugim piętrze oraz w podziemiach elegancka restauracja „Moskwa” z nowoczesnym cocktail-barem i stylową piwnicą. Szerokim pasażem przechodzi się w „patio” z urządzonym w centrum ogródkiem skalnym i nieczynnymi jeszcze fontannami. Naokoło magazyny meblowe, kosmetyczne, superelegancki salon fryzjersko-kosmetyczny, w którym królują ogromne lustra. Dwa piętra wyżej — „atelle” krawieckie, a obok sala przystosowana do pokazów mody. Jeszcze tylko w ostatnim stadium budowy jest wielokondygnacyjny budynek „CUM-u” centralnego „uniwersytetu”.

Sto metrów za centrum handlowym, nad baniastymi kopułami starej cerkwi, dominuje dziesięciokondygnacyjny maszyn zbudowany ze szkła i betonu hotelu „Inturist”. Na parterze — ogromna recepcja zajmująca całą kondygnację. Napisy informacyjne w językach rosyjskim i angielskim. Wystrój wnętrza: szkło, metal, skóra, wysokogatunkowe drewno, szlachetne tynki. Zauważa się zresztą wszędzie w nowoczesnym brzeskim budownictwie, w architekturze wewnątrz, wykorzystanie specyfiki, kolorytu i faktury podstawowych materiałów budowlanych:

betonów, grubych grysów, naturalnego koloru terazytów (czasem z domieszką miki) do osiągnięcia surowych, ale interesujących efektów plastycznych. Najczęściej spotykane odlenie to: wysmakowane szarości, beże i szarości przechodzące w błękit. Zresztą nawet eleganckie smokingi kelnerów w hotelowej restauracji utrzymane są w tonacji szaro-błękitnej. Co do zastawy, nakrycia stołów, wyposażenia kredensu — pewnie nieprędko uda nam się osiągnąć w tym względzie nawet tylko przeciętny standard Związku Radzieckiego.

Hotel „Inturist” otwarty został dwa lata temu. Może pomieścić 306 osób w 150 pokojach. Pokój jednoosobowy — 20 rubli za dobę, w dwuosobowych płaci się 12,5 rubla za miejsce. „lux” kosztuje 35 rubli. Codziennie hotel przyjmuje 5—6 grup turystycznych, pracując na pełnych obrotach i przy wykorzystaniu wszystkich miejsc przez cały rok.

Po prawej stronie ulicy Moskiewskiej rozciąga się stary Brześć przecięty swoimi głównymi arteriami: handlową ulicą Sowiecką, zadrzewioną ulicą Lenina, przy której mieszczą się siedziby władz partyjnych i administracyjnych, budynki teatrów i muze-



Fot. Archiwum

um, oraz szerokie, pełne zieleni bulwary — ulice Puszyńska i Gogola.

Można tutaj chodzić godzinami wśród cichych, szerokich, zadrzewionych uliczek projektowanych kiedyś z rozmachem, „na wyrost”, wśród domków solidnie murowanych, z obszernymi podwórkami-ogródkami, z drewnianymi obficie zaopatrzonymi w zapas przygotowanego już na zime opalu i jest się wtedy jakby w zupełnie innym, niewspółczesnym Brześciu. Ale podniósłszy wzrok w górę widzi się stawiane na wolnych miejscach wielokondygnacyjne budynki, dźwigi i transportery. A ulica Sowiecka tętni dynamicznym rytmem handlowym. Choć specyfika ulicy inna trochę od ulicznych kiosków niesie się woń smażeniny, gościnną „mienną” szeroko otwiera drzwi dla amatorów ro-

syjskiego smakołyku, a dorodne „diewuszki” zachęcają wesolo do kupowania gorących pierożków, soku brzoźowego i kwasu chlebowego.

Okragłe betonowe słupy ogłoszeniowe — oblepione plakatami. Rekrutacja młodych dziewcząt i chłopców „Imiejuszczych tancewalnyj opyt” do znanego ludowego Zespołu Pieśni i Tańca „Radość”. Informacja o kursach przygotowujących do zdobycia zawodu instruktora zespołów artystycznych. Plakat zapowiadający cykl filmów radzieckich związków z historią Związku Radzieckiego i Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. I inny — o konkursie na film amatorski o obchodach 60 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Plakaty najnowszych filmów radzieckich, wiadomość o występach Teatru im. Osterwy z Lublina, o wielkiej polskiej Auto-Moto Rewii z udziałem kaskaderów oraz... o przybyciu „estradno-cirkowego ansambla liliputów”. A w sześciu kinach Brześcia m.in.: radziecki „Obelisk”,

Brześć kulturalny

Mirosław Derecki

amerykańska „Siódma podróż Sindbada” i „Zorro” oraz niemiecko-jugosłowiański „Ulzana — wódz Apaczów”.

Wybieram się do kina „Białoruś” na ciesząc się wielkim zainteresowaniem film W Rogowego — „Niesowierszennoletnije” („Niezupełnie dorośli”) o problemach nastolatków, tzw. „trudnej młodzieży” współczesnej. Z dużą umiejętnością i pasją publicystyczną nakreślona w kolorze i na szerokim ekranie „fabuła”, w której znalazły się i problemy współczesnych zainteresowań młodzieży, i częstego braku zrozumienia ich przez świat dorosłych, i skomplikowany problem resocjalizacji. Nawiasem mówiąc, nieco podobny problem braku zrozumienia lub zainteresowania sprawami młodzieży przez rodziców podejmuje N. Matukowski w prezentowanej ostatnio w Lublinie przez brzeski teatr sztuce „Ostatnia instancja”.

„Niesowierszennoletnije” idą kompletami w „malej”, 400-osobowej sali ogromnego, zbudowanego w kształcie szklanej rotundy (u zbiegu ulic Sowieckiej i Budionnego) kina „Białoruś”. Oddany dwa lata temu do użytku budynek ma poza tym 900-osobową salę główną i cały system przestronnych foyers

mieszających poczekalnie, bufety i kąciki z automatami do gier zręcznościowych, jak np. „bitwa morska”, „kosmiczna rakietka”, „polowanie” itp. Wszędzie panuje tutaj ład i porządek i jest chyba nie do pomyślenia, żeby pijący w bufecie wino osobnik mógł „zachmieleć”.

Tanie skądinąd ceny biletów kinowych mają inną wysokość na seansach porannych i popołudniowych, inne są dla dzieci, a inne dla dorosłych, inne dla młodzieży, która wybiera się na seans „wieczorny” (już od czwartej po południu), a wyższe dla rodziców przychodzących z dziećmi na seans dla maluchów. Placą wtedy jak na „dorosłym” seansie. Ale za to znów dzieci do lat pięciu mogą wchodzić z dorosłymi za darmo, jeśli nie zajmują osobnego miejsca siedzącego.

Ku czemu zmierza świat...

Dokończenie ze str. 1

W XIX wieku stosunki na świecie, wbrew oczekiwaniom, nie stały się jednak lepszymi i bardziej ludzkimi. Przeciwnie, ówczesne społeczeństwa podzieliły się znowu na uprzywilejowanych i upośledzonych, a biedny i bogactwo uległy ponownemu rozwarciu. Imponujący postęp techniczny i cywilizacyjny zwrócił się przeciwko dominującej masie właściwych wytwórców dóbr. Nowe napięcia i konflikty wyłoniły nową siłę społeczną, uzbrojoną nie tylko w szalony determinizm walki (Proletariat nie ma nic do stracenia oprócz swoich łańcuchów), lecz i nową ideę. Był nią marksizm — naukowa teoria przekształcenia drogą rewolucji stosunków społecznych w bezklasowe, bezkonfliktowe, sprzyjające harmonijnemu rozwojowi — wszystkich materialnych i duchowych sił ludzkich dla polepszenia doli człowieka. Idea ta, antycypowana przez proletariata, stała się już po kilkudziesięciu latach wielką siłą materialną i wstrząsnęła posadami świata. W

wplywem wyrwały się z pęt kolonializmu (na początku XX wieku obejmowały one jeszcze 44 proc. kuli ziemskiej i zamieszkiwane były przez blisko 50 proc. ludzkości, dziś już tylko przez 40 mln ludzi), spowodowała przejęcie „orientacji socjalistycznej” i modelowanie swoich ustrojów społecznych w kierunku zbliżonym do ustroju socjalistycznego — modelu radzieckiego.

Jest rzeczą dziś bezdyskusyjną, że umocniła ona w setkach milionów ludzi wiarę w możliwość gruntownego przekształcenia stosunków społecznych i aktywnie wpłynęła na uśmierzenie ekstremistycznych tendencji systemów kapitalistycznych (choć nie brakło prób zaostrożenia kursu, np. w hitlerowskich Niemczech czy Włoszech).

Po rewolucji 1917 roku liczba partii komunistycznych, znajdujących moralne oparcie w państwie socjalizmu, rosła nieustannie. Wówczas działało ich niewiele, dziś liczba ich wynosi ponad 90 i zrzeszają one ok. 60 milionów członków, a siła ich nieustannie rośnie, nawet w tych krajach, które wciąż są ostoją systemu kapitalizmu i imperializmu. W niektórych krajach kapitalistycznych sytuacja wygląda dziś w ten sposób, że gdyby nie nadzwyczajne środki (systemy konstytucyjne, zewnętrzne ingerencje, skomplikowane manewry partii wyrażających interesy różnych grup poproletariackich), władza niemal drogą parlamentarną mogłaby się dostać w ręce lewicy, (np. we Francji czy Włoszech).

Obóz socjalistyczny oraz wspomagające go partie komunistyczne w krajach kapitalistycznych są obecnie swoistym „sumieniem świata”. Już wcześniej (przed rewolucją) postawiły one pod przęgierz opinii świata kwestię kolonialną, wojny, wyzysk, brak praw politycznych itp. Obecnie, nie rezygnując z niczego, skupiają się na przeciwdziałaniu możliwości wybuchu wojny termojądrowej i występują przeciwko wszelkim antyludzkim tendencjom (ruchom neofascystowskim, totalitarnym itp.). Wszystkiemu temu towarzyszy przekonanie F. Engelsa, że rewolucje otwierają epokę, w której ludzie „z pełną świadomością będą tworzyli własną historię”. W obecnym świecie nie ma alternatywy. Powszechnie staje się dążenie do uspołecznienia środków produkcji, pogłębia się przekonanie o przeżyciu się dawnej formacji i narzuconych przez nią stosunków uprzywilejowania jednych na niekorzyść drugich. Model nowych stosunków zaproponowany w rewolucji rosyjskiej, a wynikający z konstruktywnej, naukowej wizji, jest praktycznie jedyny, choć nie oznacza to, pod kreślał Lenin, że jest w pełni obowiązujący.

Program Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego wyraża dziś istotę przekonań i celów międzynarodowego ruchu robotniczego: *Komunizm polega na kres podziałowi społeczeństwa na klasy, warstwy społeczne... W warunkach komunizmu wszyscy ludzie będą równi pod względem pozycji w społeczeństwie i w stosunkach do środków produkcji, będą mieli równe warunki pracy i podziału dóbr oraz będą brali aktywny udział w zarządzaniu sprawami społecznymi... I wydaje się, że w istocie wielkiej rodzinie człowieczej nie trzeba niczego więcej.*

Dziś, po 60 latach ZSRR budzi powszechny szacunek nie tylko wśród komunistów, ale także się nad nim pochylać z powagą wszystkim tym, którym nie obce są owe samotanania się gatunku ludzkiego w długich wiekach ich świadomego życia. Porządek rzeczy zmienia się na całym świecie i ruch ten, jakkolwiek go interpretować, jest zgodny z koncepcjami rzuconymi w „Manifestie Komunistycznym”. Nieublagane procesy postawiły pod znakiem zapytania prywatną własność środków produkcji, surowców itp., degradację upośledzonych, nierówności społeczne i wszystkie miazmaty wynikające z tego układu. Świat domaga się zrationalizowania i uporządkowania. W epoce, w której pojawiły się groźne zjawiska, jak wynalezienie złowrogich i niszczących środków masowej zagłady, zakłócenia środowiska naturalnego, eksplozja demograficzna, możliwość biologicznej katastrofy kuli ziemskiej, gdy budzą się ciągle nowe „jęki i przeczucia” — wizja uporządkowanego pod względem społecznym świata musi być z natury swej rzeczy jedynie konstruktywną i optymistyczną. Na tej drodze Rewolucja 1917 roku stanowi wydarzenie wyjątkowe i zasadnicze.

Zygmunt Mańkowski

Kamena str. 5

Przed restauracją „Briest” na ulicy Puszkinińskiej zajęte są istniejące gazonem i taksówkami „wozy” z kolorowymi lalczkami na maskach, przybrane barwnymi wstążkami i bukietkami kwiatów. Orszak weselny podąża na restauracyjną antresolę. Młody świątelnik w ciemnym garniturze, przepasany tradycyjnie przez pierś białym, haftowanym ręcznikiem, krząta się wokół gości. Muzykant gra na bajanie „Jadą wozy kolorowe”, a potem szereg ludowych białoruskich melodii. Młode głosy podejmują wesołe, skoczne piosenki. Spiewają, jakby byli członkami zawodowego chóru. „To jakiś ansambl?” — pytam przy wyjściu wyszamerowanego szatniarza. „Niet, u nas wieś — artysty”, śmieje się. Po czym wyciąga szybko spod kontuaru flakon z pulweryzatorem i obficie skrapia mnie wodą kolonką. No co, co gastronomia to odczują...

Przy ulicy Sowieckiej mieści się międzynarodowa księgarnia a w niej bogato zaopatrzony dział polski z pozycjami klasyków i współczesnych pisarzy, wśród których widać książki Różewicza, Lema, Kawalca. Sporo albumów o polskiej sztuce. Są też liczne „kryminały” — autorów polskich i tłumaczenia z obcych języków. Odnotowuję z satysfakcją katalog Wydawnictwa Lubelskiego (z tytułami moich książek o majorze „Hubalu”). No i jest książka, której nie zdolałem dopaść w polskich księgarniach: „W poszukiwaniu kosmitów” Andrzeja Marksa.

W sprzedaży znajduje się stale około 600 polskich tytułów. Zaopatrzenie uzupełniane jest raz w miesiącu, a więc można mówić o stałym napływie nowości wydawniczych. Ale największym powodzeniem cieszą się nasi klasycy: Kraszewski, Orzeszkowa, Rodziewiczówna, Zeromski.

Jezeli jest się już przy książkach, to nie można pominąć sprawy czytelnictwa w Brześciu. Czynny jest tutaj 56 bibliotek, posiadających ponad milion egzemplarzy książek. Od dwóch lat wprowadzono miejski system międzybiblioteczny: wszystkie biblioteki stały się filiami centralnej miejskiej biblioteki im. Puszkina mieszczącej się przy Bulwarze Szweczeńki. Biblioteka im. Puszkina wypożycza książki 25 tysiącom abonentów.

Na rozwój brzeskiej kultury mają niebagatelną wpływ liczne domy kultury i szereg zespołów artystycznych. Przy redakcji dziennika „Zaria” i przy Domu Oficerów działają grupy literackie. Od 1949 r. istnieje w Brześciu oddział związku artystów-plastyków Białorusi liczący 22 członków.

Ogromny wkład do brzeskiej kultury wnoszą dwie wyższe uczelnie: pedagogiczna i budowlano-inżynierska, skupiające razem ok. 10 tysięcy studentów. Mówiąc zaś o kulturze w szerszym pojęciu, nie można zapominać, że Brześć ma Dom Kultury Fizycznej, 51 sal sportowych i pięć basenów pływackich!

Nad pamięcią o historii czuwają w Brześciu dwa muzea: zamieniona w pomnik-muzeum Twierdza Brzeska oraz miejskie Muzeum Krajoznawcze przy ulicy Lenina, pracujące pod dyrekcją Tamary Slesaruk. Urządzono tu interesującą ekspozycję historii Ziemi Brzeskiej. Największe jednak wrażenie robią sale poświęcone pamięci Wielkiej Rewolucji Październikowej oraz ostatniej wojnie — z doskonale zachowanymi pamiątkami (często rzeczami bardzo zwyczajnymi, osobistymi) po niezwykłych bohaterach. Ekspozycję otwierają plakaty z czasów Wielkiej Rewolucji, a zamyka zdjęcie I. M. Uronicza — szeregowca 1374 pułku strzeleckiego, urodzonego w okolicy Prużan — pełniącego rolę przed hitlerowskim budynkiem przy jednej z ulic zdobytego Berlina.

Przejdźmy jednak na zakończenie do czasów najnowszych. W samym centrum Brześcia, na tyłach kina „Białoruś”, przy ulicy Kujbyszewa 64, mieści się siedziba telewizyjnego Oddziału Telewizji oraz rozgłośnia radiowa. Składam wizytę kierownikowi Oddziału — Anatolijowi Garajowi i głównemu reżyserowi — Władimirowi Karpukowi. Ośrodek powstał we wrześniu 1961 r. zatrudnia 150 pracowników — w tym 22 redaktorów i 10 reżyserów. Mają dwa studia oraz „PTS” czyli telewizyjny wóz transmisyjny, którym często wyruszają w teren. Przy stosunkowo niewielkim zespole, dają na swoim 7 kanale 28 godzin programu miesięcznie, w tym 22 godziny przygotowane własnymi siłami ośrodka. Mniejszy zespół ma Oddział Radiowy z red. Nikołajem Jarmoszewiczem na czele, zatrudniający 23 osoby i dający 40 minut programu na dobę — z wyjątkiem niedziel.

Wiodący program telewizyjny to „Kommunizm — wremia — żiżń”; poświęcają też bardzo dużo miejsca literaturze i sztuce w telewizyjnej „gazecie” literacko-artystycznej „Bug”. W cyklu: „Nasi goście” wystąpili m. in. artyści lubelskiego teatru dramatycznego, a dwudziestominutowa audycja „Pierwsze znakomstwo” umożliwiła debiut młodym piosenkarzom i zespołom muzycznym. Codziennie w brzeskim programie telewizyjnym idzie informacja na temat przygotowań do obchodów 60 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Interesujące są wreszcie poczynania ośrodka telewizyjnego w dziedzinie produkcji filmów krótkometrażowych, ukazujących historię obwodu, sylwetki ciekawych i zasłużonych obywateli regionu. Wśród nich: „Droga k zwiędzdam” — o kosmonaucie Piotrze Klimuku oraz „Stranicy biessmertia” — o bohaterkiej Twierdzy Brzeskiej.

Kiedy żegnamy się, redaktor Garaj mówi z uśmiechem: „A woł, ja na kaniec skażu wam takoj starinnyj aniekdot pro waszu gazetę...” i opowiada mi słynny dowcip o „Kamieni” i jej czytelnikach, który wymyślił piętnaście lat temu Kazio Łojan, i który... wykonywałem z nim jako tzw. „black-out” na scenie kabaretu „Czart”. Teraz, po tylu latach zatoczywszy ogromne koło, kawał wrócił do mnie. Wiec śmiejemy się razem z tego dziś już abstrakcyjnego — bo „Kamena” wychodzi w dwudziestotysięcznym nakładzie — dowcipu i dlatego także, że fakt obustronnego przepływu anegdot świadczy o naprawdę żażyłych, serdecznych i dobrosąsiedzkich stosunkach.



1864 roku przyjęły ją liczne już organizacje i partie polityczne zrzeszone w I Międzynarodówce Komunistycznej. W 1871 roku w dramatycznych okolicznościach doświadczona była w pierwszym proletariackim państwie świata — Komunie Paryskiej. W latach 1905—1907 wytyczała drogi wielkiemu poruszeniu proletariatu Europy i Azji, w 1917 roku zwyciężyła w Wielkiej Rewolucji Październikowej na obszarach Rosji.

Czym była i co przyniosła światu ta rewolucja? Osady na ten temat ulegają, w miarę ukazywania się jej trwałych i istotnych skutków, stalemu pogłębianiu, stają się coraz bardziej wyraziste i oczywiste.

Była z pewnością w dziejach ludzkości pierwszą o takich rozmiarach i skutkach próbą zrealizowania doktryny filozoficznej. W sposób kategoryczny przekreśliła wszelkie sugestie o utopijnym lub marzytelskim charakterze koncepcji marksistowskiej. Już przez to zasługuje ona na niezwykły szacunek i uwagę. Jej myślą przewodnią była wiara w uczynienie stosunków pomiędzy ludźmi znośniejszymi poprzez likwidację prywatnej własności środków produkcji i wprowadzenie ludowładztwa, działającego w imię zdecydowanej większości. Oddając w ręce właściwych wytwórców dóbr narzędzia i środki produkcji, otworzyła tym samym możliwość harmonijnego ich rozwoju dla dobra wszystkich. Nie sposób dziś przecenić i innych zjawisk i procesów, które wywołała pośrednio, m. in. dla Polski. Od 1917 roku wszystkie poważniejsze wydarzenia na świecie miały w jakimś stopniu z nią związek. Były wynikiem działania „za lub przeciw” powstałemu wówczas pierwszemu na świecie państwu socjalistycznemu. Rewolucja ogarnęła początkowo tylko jeden kraj, lecz kraj ogromny, położony na dwu kontynentach. Wywołała cykl przewrotów i rewolucji w wielu krajach, w których efekcie w obrębie kształtowania się stosunków socjalistycznych po drugiej wojnie światowej znalazło się 13 państw obejmujących aż 1/3 ogólnej powierzchni globu ziemskiego, zamieszkałej przez ponad 1 200 mln ludzi. Udowodniła tym samym rzecz istotną, że jest „trendem, ku któremu zmierza świat”, a nie wypadkową przypadków wywołanych kataklizmem I wojny światowej (finansowano to upórzywie w latach międzywojennych).

Ogarnęła ona już nie tylko Europę wschodnią i część Azji, ale dotarła na drugą półkulę (Kuba), do Afryki (Angola), a w wielu krajach, które pod jej

NAJMŁODSZA POEZJA RADZIECKA

Przekłady: Aleksander Rozenfeld

Aleksander Bobrow

zapomnieć nie mogę chwili
poruszając się po barwnych stronach atlasu
dowiedziałem się że Missisipi z Missouri
to najpotężniejsza w świecie rzeka
jak to? — nie wierzyłem własnym oczom
a Wolga? — lecz nauczyciel potwierdził
przypuszczenia najgorsze
Amazonka, Ganges, potem długo, długo
jeszcze.....

a ja wciąż myślałem jakże to tak
wiele lekcji w życiu biorąc
zrozumiałem dopiero po latach
że wszystkie rzeki przyjmują do swych koryt
burzliwie przeciekający epok czas
to czego nie da rzekom przyroda
wszechogarniającej miłości narodu
siłę trwania i geniusz epoki
z taką rzeką niechby ktoś popróbowal?!...

POSŁANIEC

z niezliczonych książęcych drużyn
przetrzebionych na ziemiach cudzych
młody żołnierz tylko ocalał
wola bożą żucie wyniósł cało
dosiadając chyżych koni
chciał o kłęsce wieści donieść
przelatując nad stepami traw
by na końcu w rodzinnych stronach
przebijając się wśród wrażeń straż
piątym koniem do bram stolicy
cztery konie padły w piach
i przedstawił księciu prawdę
lecz że wieści były nie po myśli
postradał posłaniec głowę
potoczyła się głowa z szyi
i minęło wiele lat
książę obrósł w bogactwo i siłę
osiągnąwszy wiele zwycięstw
w sercu księcia niepokój się tlił
gdy już przywykł do wieści pogodnych
pożalował żołnierza bez głowy
wiedział że drogi powrotnej
nie pokaże mu nigdy już nikt

Władimir Firsow

dawno już pianie kogutów zamilkło
niedługo potem słońce przestało świecić
porą zimową pisze się wiersze o jesieni
tak jak jesienią o lecie
chyba dlatego że zastawiam sobie w zapasie
serca sporo i każdy dzień
podobny jest do poprzedniego świtu
a nocą sposobie się do drogi
ciemno jest wokół a księżyc świeci jak
latarnia
jak mi nie spojrzeć w niebo skoro
tak przywiązany jestem do przeszłości
i przywołuje pamięć słowa jak rzeka lilie
z dna swojego
a najważniejszym ze słów jest ojczyzna
i zakwitają rzadkie kwiaty
biel jaśminu czerwien jarzębiny i takie
spotkanie przy moście opodal małej rzeczki
słuch wyostrzony pamięcią żyje i głos
znajomy
gdzieś z dala przypląwa i jak na złość ginie
a tumult obcy tak długo trwa
gdzieś z głębi ducha ból się nagły zbudził
lęk bym mógł widzieć jaśniej
wszystko to co kiedyś znienawidziłem
i wszystko to co pokochałem
o pamięci dana mi jesteś na szczęście
w daleką drogę bym myśląc o przyszłości
wrócić mógł tam skąd iść zacząłem

Kamena str. 6

więc tak mnie żegnasz tak mnie żegnasz
jużwa temperatura twojej krwi
zwiastuje mróz
nie obiecujesz mi niczego nie mi się nie
należy

mścisz się dzisiaj za nocie nieprzespane
za troski przysporzone
za lzy niezasłużone za śmierć uczucia
za to że proza życia zapanowała
nad wierszami
przyjdzie mi zacząć od początku
tak myślę w narodzinach dnia
że takich rozstań nie chcę więcej
gdy winien mam być tylko ja
lecz wierzę w siłę oczyszczenia
jak wierzę w dzień gdy spotkam ciebie
będziemy inni bez wątpienia
starsi o siebie mądrzejsi o siebie

Anatolij Pieredriejew

BALLADA O BEZNOGIM SZEWCU



Rys. E. Ingłot

piękna to sztuka — para nóg
z mięsa kości i krwi
chodził po ziemi człowiek jak bóg
i boga nie było wokół
szumiało w jego oczach ogromnych
niebieskie niebieskie lato
on ziemię kochał i niebo kochał
kochał cztery strony świata
on lubił po ziemi pieszo iść
dyszac pod wielkim słońcem epoki
ach ile par butów zniszczyć możesz
jeśli masz zdrowe nogi
gdy w pilkę nożną wybiegał grać
dzwoniła ziemia jak dzwon
marzył że będzie wiersze pisał
a może będzie geologiem
na pewno był człowiekiem odważnym
ale żadnej w tym winy
że w narodowej wojnie został
został tylko żołnierzem
karabin maszynowy śmiertcionie gra
i kule świszczą wciąż gęściej
chlustał karabin po krzyczących gardlach
chlustał po nogach biegnących
i upadł człowiek na biały śnieg
nie rozumiejąc co się stało
i nogi przestrzelone podkulił pod siebie
z kości krwi i ciała
chodził po ziemi człowiek jak bóg
wesoty chodził świata piewca
stuka i stuka i stuka młotek
w ręku beznogiego szewca
siedzi w swej budzie kolorowej
przepachniony skórą
i toczy się wokół czas ubogi
i ludzie się toczą jeden za drugim
i ludzie lubią chodzić pieszo
dyszac pod wielkim słońcem epoki
a ile butów zniszczyć można
gdy ma się zdrowe nogi

SEN MATKI

stukają w okna
stukają do nocnych drzwi —
wstawaj szybko wstawaj
na oścież otwórz drzwi!...
i wchodzą do mieszkania
jej zmartwychwstałe dzieci
powstają nad nią trzej mocarze
oni stoją takimi
jakimi zatrzymała ich w swych oczach
wieczysta pamięć matki
i braknie sił
by rzucić się naprzeciw
oddechu
dla imion wykrzyknienia
to oni
każdego ręką dotknąć można
patrz
na każdego z nich po jednym spojrzeniu
i jak niegdyś
przed wymarszem w tą ostatnią drogę
błyszczą nowe
skrzyżowane żółte rzemienie

to ona jedna na białym świecie
a do niej jedyna droga
ja idąc do niej spotykałem świat
u wrót domowego proga
równina ojczyzna ziemia
parzący zapach chleba
za wsią są pola
nad polami niebo
szedłem
widziałem świat przede mną
widziałem już z daleka
że z domu wiele prowadzi dróg
do domu droga jedna
wciąż szarzej świat się rozpościera
i dookolne traw kwitnienie
i słyszę tylko śpiew skowronka
gdzie znaleźć zapomnienie

Lopson Topchajew

wczesnym rankiem
i słonecznym dniem
na pastwisku na stepie szerokim
postać moja i mojego konia
nierozłączne z naszym wspólnym cieniem
jasną nocą pędzimy wciąż
cień widoczny — na niebie księżyc jasny
tak od prawdy oddzielić prawdę
niepodobna
nawet gdy się ktoś bardzo będzie starał

Jurij Uwarow

ostatnie liście już grabią
w alejach ogniska dogasają
jeszcze tydzień
stwierdzisz ze zdziwieniem
że to już minął listopad
i zapach dymu gorzkawy
ziemi już nie muśnie
szeleszczące przecucie utraty
w dźwięku zbliżającej się zimy

[...] Niektórzy ludzie wygłaszają następujące poglądy: powinniśmy wytwarzać tylko rzeczy użyteczne, przede wszystkim przedmioty codziennego użytku. Można produkować karafki, stoły, koleje, maszyny itd., co się zaś tyczy obrazów, to nie ma potrzeby ich malować, nie służą bowiem żadnym celom użytkowym. Nie są to rzeczy, chociaż mają określony ciężar i kształt, latwiej przecież jakąś różnicą między malowaną skrzynką, w której można schować dobytek, a obrazem, na który można tylko patrzeć. Sztuka w ogóle — powiadają ci ludzie — a więc sztuka tak zwana czysta, znajdująca uspokojenie tylko w tym, że zaspokaja potrzeby estetyczne, taka sztuka nie jest nam potrzebna. To sztuka burżuazyjna, feudalna, scholastyczna, my zaś chcemy wytwarzać tylko rzeczy użyteczne.

Na szczęście nie wszyscy ludzie o takim sposobie myślenia są tak tępi, by się przy nich upierać.

— Cóż jednak powiemy o pieśni, o marszu? Czy marsz to rzecz pożyteczna? — spytamy czerwonoarmistę. Pożyteczna — odpowie. — A przecież marsz nie nie waży...

Trzeba więc ustalić, co będziemy nazywali produkcją. Czy obraz nie jest rezultatem jakiegoś procesu produkcyjnego? Należy wprowadzić rozróżnienie: albo mówimy o przemyśle, o produkowaniu użytecznych rzeczy oraz o ich artystycznym kształcie, albo mówimy po prostu: wszystko, co człowiek wytwarza, jest produkcją.

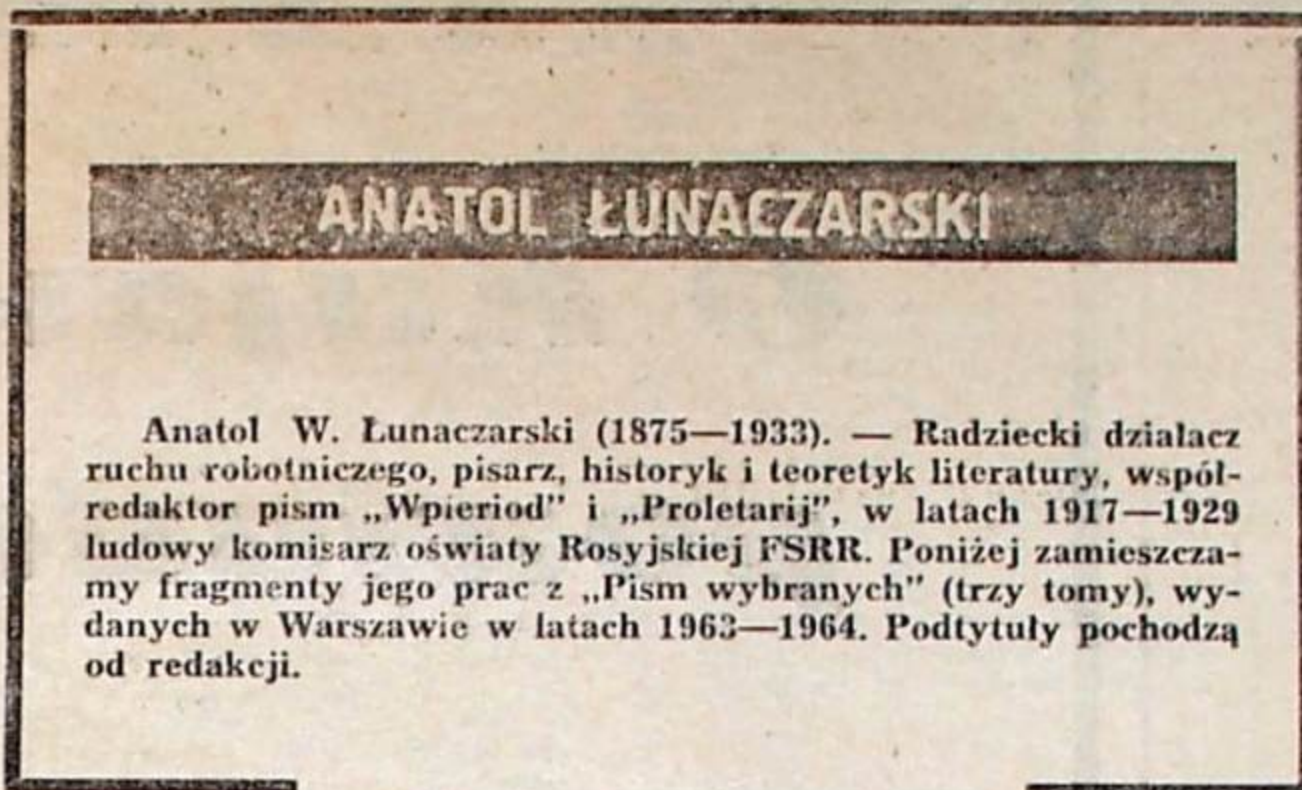
Niektórzy dochodzą nawet do takiej dziwacznej formuły: „Sztuka jest to produkcja rzeczy użytecznych”. Tak jakby przemysł zajmował się produkcją rzeczy bezużytecznych!

Ale kiedy, wszystkie koty są szare, to wszystkie są takie same i żadnego nie można schwytać. Tak więc trzeba zaczynać od pieca, ponieważ abecadło sztuki zaczyna się od pewnego rozróżnienia. Garnek jest niewątpliwie rzeczą użyteczną, ale czy trzeba pokrywać go ornamentami? Przecież zupa nie będzie przez to smaczniejsza! Ludzie wytwarzają jednak mnóstwo rzeczy bezużytecznych albo nadają przedmiotom właściwości nie zwiększające wartości użytkowej, upiększając je i podnosząc przez to ich cenę; garnek z ornamentem kosztuje na rynku drożej niż gładki. Tu właśnie stykamy się z problemem sztuki.

Przemysł artystyczny bynajmniej nie ogranicza się do artystycznej produkcji przedmiotów pożytecznych w użytkowym sensie tego słowa. Powtarzam: pożyteczny jest także zwykły garnek, byleby można było w nim gotować kaszę. Ale choć obraz nie jest rzeczą pożyteczną w sensie potocznym, nie możemy jednak powiedzieć, że obrazy nie przynoszą nam żadnego pożytku. Wszystko, co pomaga w rozwoju ludzkiej natury,

co organizuje życie tak, iż staje się ono swobodniejsze i radośniejsze — wszystko to jest bezwarunkowo pożyteczne. Należy zatem artystyczny wyrob przedmiotów wyłącznie użytkowych odróżnić od właściwej sztuki i nazywać nie artystyczną produkcją w ogóle, lecz przemysłem artystycznym.

A jakie są zadania tego przemysłu artystycznego? Ze są one wielkie, nie ulega wątpliwości. Ze degradu-



ANATOL LUNACZARSKI

Anatol W. Lunaczarski (1875—1933). — Radziecki działacz ruchu robotniczego, pisarz, historyk i teoretyk literatury, współredaktor pism „Wpieriod” i „Proletarij”, w latach 1917—1929 ludowy komisarz oświaty Rosyjskiej FSRR. Poniżej zamieszczamy fragmenty jego prac z „Pism wybranych” (trzy tomy), wydanych w Warszawie w latach 1963—1964. Podtytuły pochodzą od redakcji.

wanie przemysłu artystycznego jest wielkim grzechem — to niewątpliwe. Powiem więcej: przemysł artystyczny jest bardzo ważnym zadaniem sztuki.

Jakież jest zasadniczy cel, który postawił przed nami marksizm? Nie poprzestaje na objaśnianiu świata, lecz przekształca go. Przemysł artystyczny jest właśnie owym przekształcaniem świata. Kopanie kanałów, które zmieniają oblicze ziemi, budowa miast itd., aż do nowych wzorów szklanek — wszystko to wchodzi w zakres produkcji artystycznej. Zadanie przemysłu polega na przekształcaniu świata w taki sposób, aby człowiek jak najłatwiej mógł w nim zaspokajać swoje potrzeby. Ale człowiek ma jeszcze inną potrzebę: chce żyć radośnie, wesoło, intensywnie. Jest to potrzeba o równie ważna, bo gdybyśmy stworzyli ludzkości taki raj, o jakim mówił Nietzsche, gdybyśmy doprowadzili do tego rodzaju obfitości, to skończyłoby się tak, jak w Szestliwce, któremu brakowało w życiu niczego nie brakowało, ale mimo to chciał się powiesić. Wstręt do życia opętałby ludzkość, można by pomyśleć, że człowiek żyje tylko po to, aby je... [...]

[...] Rewolucja odwiedziła teatrowi: „Jesteś mi potrzebny. Jesteś mi potrzebny nie po to, abym po trudach, zmogach i walkach mogła odpocząć w wygodnych fotelach w pięknej sali i zabawić się widowiskiem. Jesteś mi potrzebny nie po to, żebym mogła serdecznie pośmiać się i „użyć sobie”. Jesteś mi potrzebny, pragnę, byś służył mi swoją pomocą, swymi marzeniami, swymi radami. Pragnę ujrzeć na twej scenie

Niektóre teatry przestraszyły się, inne zgodliwie przytaknęły i oświadczyły: „Jesteśmy zawsze do usług”. Zaczęły powstawać nowe teatry. Jedne w ogóle opacznie pojmujące rewolucję, inne bliższe jej — wszystkie jednak pośpiesznie stróżyły nowe instrumenty do nowej muzyki. Teatr Artystyczny i jego genialna dyrekcja ostrożnie i z uwagą słuchały nowych hasel. Czy da się to wszystko przełożyć na język teatru? Czy nie będzie to zbyt wulgarnie? Czy nie nazbyt brukowe? Czy nie nazbyt jednostronne? I dlaczegoż to mamy służyć klasie, a nie w ogóle całej ludzkości?

Ludzie rewolucji spoglądali na Stanisławskiego i jego teatr również z podobnym niedowierzaniem: czy aby nie jest to teatr burżuazyjny, czy nie nazbyt inteligentki i estetyzujący? Czy przypadkiem nie jest to teatr westchnień i pięknych lez słabości? Czy nie jest to aby teatr rozładujący naszą pasję. W latach klęsk, w latach marazmu pocieszał. Ale po cóż nam teraz pocieszciciel?

[...] Rewolucyjna dramaturgia rozwijała się powoli. Nie mogło zresztą być inaczej. Teatr jako precyzyjny instrument estetyki również stopniowo zbliżał się do potrzeb nowej epoki. Poszukiwał nie rezygnując ze swej podstawowej zasady, nie sprzeniewierzając się swej wierze, że powołaniem teatru jest włączenie się do nowego budownictwa lub też włączenie nowych motywów do swej symfonii. Przez długi okres udawało się to tylko częściowo.

[...] Styszałem pewną anegdotę i mam nadzieję, że jest prawdziwa. Pewien dramaturg rozmawiał z czołowym przywódcą naszej partii i pragnąc odparować zarzut niezbyt wysokiej jakości naszych utworów scenicznych, zauważył: „No, cóż robić? Nie jesteśmy Szekspirami”. Na co przywódca jakoby odpowiedział (i to dobrze, jeśli tak odpowiedział): „A dlaczegoż nie jesteście Szekspirami? To wasza wina. Czyż obecna epoka nie stoi nieźródłowanie wyżej od epoki Szekspira? Dlaczegoż by więc nie miał w niej zabrzmieć głos jeszcze silniejszy od głosu Szekspira?”

I będziemy mieć własnych Szekspirów. Nie możemy ich nie mieć. Może zjawia się nieco później, ale zjawia się na pewno.

I w dniu siedemdziesięciolecia urodzin Stanisławskiego oraz w dniu pięćdziesięciolecia jego jakże owocnej, uznanej przez cały świat i podziwianej w dziesiątkach krajów działalności artystycznej, mającej tak ogromne znaczenie w historii naszego kraju, życzę mu przede wszystkim, by doszedł do niewątpliwego najgłębszego przekonania, iż znakomity instrument zbudowany przez siebie z wielkim samozaparciem i pietyzmem został w istocie rzeczy zbudowany po to (choć sam Stanisławski nie uświadamiał sobie tego), by stać się instrumentem wielkiej rewolucji, początkiem rewolucji światowej.

Dziedzictwo przeszłości

głęboko wrogię ideałom klas pracujących.

Czy wskutek tego nie powinniśmy dojść do wniosku, że zaznajamianie proletariatu i chłopstwa ze sztuką przeszłości należy uzależnić od tego, w jakiej mierze zbliża się ona do treści duchowych ludu? Uważam, że przeciw stosowaniu takich dydaktycznych metod wobec mas ludowych trzeba bezwzględnie oponować. Jestem całkowicie przeświadczony — potwierdza to zresztą moje doświadczenie — że przywódcy, których wylonili same masy, nigdy nie wykazują wobec nich takiego lekceważącego stosunku przypominającego kuratele. Wszystko to jest echem kulturtregerstwa, tylko na opak. Kulturtregerze ze sfer niedawno panujących starał się narzucić chłopstwu i proletariatu to, co uważał dla nich za wskazane pod względem dydaktycznym; Kulturtreger z inteligentkich sfer opozycyjnych przegina teraz pałkę w drugą stronę i pragnie ustanowić teraz dla tych mas nowy strychulec.

Nie, cała sztuka minionych epok powinna być dostępna dla robotników i chłopów. Byłoby oczywiście śmieszne, gdybyśmy okazywali w tym względzie jakąś absolutną obojętność. Jest naszą jasną, że zarówno my sami, jak nasze

olbrzymie ludowe audytorium, znacznie więcej uwagi poświęcimy temu, co nam mile, czemu jesteśmy oddani, ale z drugiej strony nie ma takiego dzieła prawdziwej sztuki — tj. dzieła rzeczywiście odzwierciedlającego w odpowiedniej formie takie czy inne przeżycia człowieka — które mogłyby być wyrzucone za nawias ludzkiej pamięci i zakazane dla człowieka pracy, spadkobiercy dawnej kultury.

Jeśli zaś idzie o utwory artystyczne, w których znalazły wyraz dążenia człowieka do szczęścia, do prawdy socjalistycznej, jego radosna afirmacja świata, walka z ciemnymi mocami itd. itd., to widzimy w nich jakby prawdziwe słupy ogniste czy gwiazdy przewodnie oświecające z wyżyn sztuki drogę mas pracujących. Rzecz jasna, masy te zapalają swoje własne znieze, swoje własne słońca, ale tymczasem owo dziedzictwo przeszłości stanowi zaiste olbrzymi skarb, toteż mimo woli ogarnia czołowe oburzenie, kiedy jakiś taki czy inny niedouczone czy nawet świadomy demagog chce zastąpić tę wielką spuściznę przed wzrokiem robotnika i chłopca, usiłując przekonać go o konieczności przykucia wzroku tylko do tego skąpego kaganaka, który zapalono w dziedzinie sztuki w ostatnim okresie. Ludowy Ku-

misariat Oświaty tak właśnie rozumiał swoje zadania. Wychodząc z tych założeń poświęcił on wiele uwagi temu, aby zachować w nienaruszonym stanie dzieła i tradycje będące świadectwem historii, dzieła i tradycje wielkich epok artystycznych, wywierających wpływ na naszą epokę artystyczną, której próg właśnie przekroczyliśmy.

Jeśli chodzi o ochronę muzeów, parków, zabytków przeszłości itp., o ochronę najlepszego repertuaru, najlepszych teatralnych tradycji, opiekę nad bibliotekami, instrumentami muzycznymi, orkiestrami itd. — to trzeba stwierdzić, że działalność nasza zmierzała do jak najbardziej starannego i „żywego” zachowania majątku ludowego. Żywego — trzeba to podkreślić — ponieważ chodziło nie tylko o to, aby rzeczy te zachować, lecz także o to, aby nadać wszystkiemu formę dostępną dla mas ludowych.

I chociaż trudne warunki, w jakie wtrąciła nas wewnętrzna i zagraniczna reakcja, narzucając nam wojnę domową, prawie zupełnie nie pozwalały masom swobodnie odetchnąć, to przecież z dumą możemy powiedzieć, że sztuka stała się naprawdę dostępną dla mas.

pochyliam się nad tobą
z każdym dniem coraz niżej
odległe dłonie ścisku
stopy dnia coraz bliżej

słyszysz głuchy puls zmierzchu
co się sączy przez żyły
z niepamięci w niepamięć
galopują godziny

pochylony nad tobą
niby obłok nad stawcem
liście czasu rozniecam
kare konie w nim pławię

wczesną gwiazdę wieczoru
szron mi kładzie na skroni
coraz głębiej pląg życia
wzrasta w skibę ciemności

BĄDŹ

bądź przystępna przez chwilę
jak łąka dla kosa

bądź ulepla przez chwilę
jak trawa w pokosie

bądź upojna przez chwilę
jak siano nad ranem

z rzes ci rośe zdejmę
— słońce wstanie

TOBIE TE SŁOWA

tobie te słowa powiedzą więcej
niżli wabrzniale deszczem jezioro
niż traw dojrziałych uległy pokos
zanim je zusza w stogi ułoży

jeszcze się ranek panoszy wokół
mienia się srebrne oponcze rosy
jak rozsypane w pogoni włosy
zanim je w workocz jasny ubiorą

tobie te słowa powiedzą więcej
niżli południa dostatnie żniwo
i śnić się będą nicia szczęśliwą
złote trzewiki dla bosa stopy

tobie te słowa powiedzą więcej
niżli ktokolwiek powiedziec zdola

ucieka czas w poryrach godzin
odpływa rzeka w powodzi gwiazd
a rzeka biała lódka odchodzi
i ty odejdziesz w bezbrzeżną dal

pójdę za tobą cóż taka pora
włosy się srebrzą srebrzy się skroni
skowronek śpiew swój wyorał z pola
stygnie powoli w oddali dzwon

cóż taka pora więc mi iść trzeba
choć nie dogonię czasu ni ciebie

posyłam ci te słowa
w tajemnicy
przed samym sobą

to tak jakby owoców szukać
w ciemnej skrzyni ogrodu
jakoby pytać o drogę
posagi skamieniałe
jakby iść ku wyżynom
skroś wezbranej fali

w zgęstnialej ciszy
polyskują słowa
jak złote ryby
w osuszonym stawie

brodząc milcząc
w ciemności się plawię
by dostać wreszcie
godne ciebie słowo

LIST Z WŁOCŁAWKA

O KUJAWACH powiadają, że tam dobry posag dają — głosi piosenka ludowa, której treść wysłałem z mlekiem maiki, życzącą mi, jak to matka, wszelkiej pomyślności, a zatem i żony zamożnej. Owszem panien posażnych nigdy we Włocławku nie brakowało, jako że od dawna istniały tutaj liczne zakłady przemysłu spożywczego, metalowego i maszynowego, a staruszka „celuloza”, uwieczniona przez Neverlego w znanej powieści, jednej z najlepszych w okresie realizmu socjalistycznego i w ogóle dobrej, oprócz satysfakcji moralnej także przynosiła mieszkańcom nieco grosza.

Niestety, nie ożeniłem się z Kujawianką, także dlatego, że najlepsze partie porywali kawalerzy z rosnącej w przemyśle Bydgoszczy i z uczelniano-przemysłowego Torunia. W cieniu zaciekłej rywalizacji tych miast Włocławek tracił to i owo, prawdę mówiąc — nie liczył się w opinii publicznej

O Kujawach powiadają...

województwa bydgoskiego, do którego należał. Wzniesienie Zakładów Azotowych wzmocniło nieco pozycję tego ośrodka, ale przede wszystkim pod względem materialnym. Duch tego miasta był bliźszy od bladeści najbardziej stereotypowego ducha. Odbywały się co prawda we Włocławku konkursy i wystawy malowanego fajansu, przy końcu lat sześćdziesiątych usiłowała ukonstytuować się jakaś grupa młodoliteracka, działał teatr amatorski Związku Nauczycielstwa Polskiego, wizytowały miasto teatry dramatyczne z Torunia i Grudziądza, ale wszystkie te przedsięwzięcia były niczym wobec skali Włocławka, który już w 1967 roku liczył ponad 70 tysięcy mieszkańców.

Od dwóch lat i kilku miesięcy Włocławek jest stolicą regionu kujawsko-dobrzyńskiego, obejmującego także większe miejscowości, jak: Aleksandrów Kujawski, Clechocinek, Lipno, Radziejów, Osiecin, Nieszawa, Rypin. Nadal rozwija i modernizuje swój przemysł, ale ruch w tym interesie rozpoczął się znacznie przed reformą administracji terenowej, podobnie jak wcześniej zaczęto tutaj stawiać wielkie, standardowe osiedla mieszkaniowe, kropka w kropkę takie, jakie zbudowaliście w Lublinie na terenie LSM (Konopnickiej, Prusa, Sienkiewicza, Krasieńskiego). Co prawda niedawno zabrano się do polepszenia kontaktu Włocławka z resztą świata przy pomocy prawie że autostrady, to przecież innego rodzaju dążenia i fakty decydują dziś o specyfice miasta.

Oto Włocławek próbuje stać się faktycznym ośrodkiem kultury. Owszem, tego typu ambicje obserwuje się w innych nowych miastach wojewódzkich, ale tutaj, u ujścia Zgłowiączki do Wisły, cechują się one szczególnym rozmachem i racjonalnością. A trzeba przy tym wiedzieć, że zaniedbania w sferze włocławskiej bazy kulturalnej były wielkie i nadal spędzają sen z powiek ludziom odpowiedzialnym za jakość życia społecznego. Wspomnę tylko, że Włocławek posiada zaledwie dwa kina, licząc sobie niemal 100 tysięcy obywateli.

Co to znaczy w dzisiejszych warunkach „rozmach i racjonalność”? We Włocławku odpowiadają, że chodzi o działanie wszechstronne i liczące się z realiami ekonomicznymi oraz społecznymi, acz nie minimalistyczne. Trochę się o rozwój własnych środowisk plastycznych, teatralnych, muzycznych i literackich, ale nie na zasadzie żaby udającej wola. Popieramy działalność teatru Związku Nauczycielstwa Polskiego, który istnieje już ćwierć wieku i kierowany jest obecnie przez Waldemara Manowskiego. Doceniając jego wielkie zasługi dla kultury Włocławka, wcale nie przymierzamy się do uruchomienia stałej zawodowej sceny — przynajmniej do końca lat osiemdziesiątych — bo nie miałaby chyba ona „aktywu” w postaci publiczności. W zamian nawiązaliśmy współpracę z Teatrem Powszechnym w Warszawie, który regularnie występuje u nas w sali WDK liczącej około 400 miejsc. Oglądaliśmy już „Sprawę Dantona” Przybylszewskiej, „Odpocznij po biegu” Terleckiego, „Barbarzyńców” Gorkiego, „Mecz” Głowackiego oraz „Otwórz drzwi” Chojńskiego w interpretacji Elżbiety Kepińskiej i Leszka Herdegena. Ponadto sami, w odpowiednich grupach, wyprawiamy się do warszawskiej siedziby tego teatru; ostatnio byliśmy na głosnym spektaklu „Łot nad kukuleczym gniazdem”, który stał się powodem spontanicznych i żarliwych dyskusji, prowadzonych już po powrocie — w domach prywatnych, przy urzędniczej herbacie. Tym sposobem nabierają ludzie kultury teatralnej i nie daj boże, aby Grudziądz czy Toruń poławiły się na włocławskiej scenie z czymś niewydarzonym, dyletancko i nonszalancko odegranym. Nie te czasy!

Albo życie literackie. W lipcu tego roku powołano przy Dobrzyńsko-Kujawskim Towarzystwie Kulturalnym klub literacki „Kujawy”, skupiający 19 członków dysponujących pewnym dorobkiem; niektórzy z nich drukowali zresztą na łamach „Kamena”, a Stowarzyszenie Twórców Ludowych z siedzibą w Lublinie zamierza właśnie wydać tomik naszej poetki z Michałina, Cecylii Zielińskiej. Równocześnie ściągamy do Włocławka ogólnopolskie imprezy literackie i wybitnych pisarzy. W tym roku odbyło się na przykład seminarium literackie młodych pn. „Społeczne inspiracje w literaturze współczesnej”, w którym uczestniczył m.in. włocławianin z pochodzenia, a lublinianin z tytułu obecnego miejsca zamieszkania, Tadeusz Kwiatkowski. Niebanalny sposób bycia poety wzbudził zresztą nieklamane zaciekawienie szerokich kręgów czytającej publiczności.

Kształtowanie nowych wartości wiąże się przy tym z rekonstruowaniem tradycji. Kiedy w ramach „Wieczorów włocławskich” miało się odbyć spotkanie z Edwardem Stachurą zaraz przypomniano, że ów „znakomity pisarz młodego pokolenia” wychował się w pobliżu Aleksandrowa Kuj. Tu spędził młodość, uczęszczał do liceum ogólnokształcącego w

Clechocinku. W kilku jego utworach pojawia się problematyka regionalna. Głośna przed kilku laty powieść pt. „Cała jaskrawość” rozgrywa się w rejonie woj. włocławskiego... Poemat „Po ogrodzie niech hula szarańcza” zawiera także wiele akcentów kujawskich. Do realiów województwa bydgoskiego nawiązuje druga powieść Edwarda Stachury pt. „Siekierzadą czyli zimą leśnych ludzi”. W rozmowach z przedstawicielami wojewódzkich władz kulturalnych łatwo dojść do wniosku, że trochę im żal, iż inny znany poeta, mieszkający w Clechocinku Janusz Zernicki, należy aż do warszawskiego oddziału ZLP.

Nie zamierzamy hodować lokalnych wielkości, zyskujących fikcyjny wymiar dzięki izolacji i ciasnym kryteriom ocen. Jeśli więc popieramy działalność Włocławskiej Orkiestry Symfonicznej, to zaraz dajemy jej możliwość ostrej konfrontacji z wybitnymi zespołami czy solistami, np. w ramach „Włocławskiego Kwitnia Muzycznego”, w którym poza studentami kilku wyższych szkół muzycznych, biorącymi udział w specjalnym konkursie, występują także znakomitości, jak Wiesław Ochman, Kwartet Włocławski czy „Camerata”.

Od lipca działa we Włocławku Biuro Wystaw Artystycznych, kierowane przez Janinę Twardy, absolwentkę Wydziału Sztuk Pięknych UMK w Toruniu, osobę niezwykle oddaną sprawie, co jest tym bardziej warte podkreślenia, że placówka dopiero zdobywa sobie publiczność, nie posiada odpowiedniego zaplecza i ma wielkie kłopoty wydawnicze. Ważne, że lokal znajduje się w centrum Włocławka, przy samej ulicy i na parterze, co zachęca do odwiedzin. Myśli się już przecież o przekazaniu we władanie BWA sąsiedniej kamienicy. Najbardziej przy tym znamienne, że otwarcia placówki dokonał i sekretarz KW PZPR, Edward Szymański. Dużo, widać, znaczenie przywiązują tutaj władze do sztuki. Dodatkowym potwierdzeniem tego faktu może być organizacja plenerów przemysłowych we Włocławku i rzeźbiarskich w Clechocinku, a także planowana impreza, która w jakimś sensie nawiązuje do Lubelskich Spotkań Plastycznych. Obliczona na dwa — trzy lata, rozpocznie się jeszcze w tym roku od zapoznania zaproszonych artystów krajowych z terenem osiedli mieszkaniowych Włocławka, które mają być przedmiotem ich pracy. „Po naukę pojeździemy prawdopodobnie do Lublina”, informuje Tadeusz Kieloch, dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego. „Nie chcemy ozdabiać, dekorować osiedli, chcemy wprowadzić w ich przestrzeń ład i harmonię”, dodaje.

Taki rytm rozwoju życia kulturalnego Włocławka skłania nawet miejscowy periodyk społeczno-polityczny „Kujawy” do częstszego zaglądania na ów teren. Kariera tego pisma jest zresztą niewyjątkowa, a najlepiej ilustruje ją wysokość nakładu: 80 tysięcy egzemplarzy! Skąd ta popytność? Chyba stał, że „Kujawy” podejmując najbardziej drażliwą problematykę społeczno-gospodarczą, stały się nieklamany wyrazicielem opinii publicznej. Czymś gościem redakcji jest tow. Edward Szymański.

„Kamena” sugerowała, żeby — jeśli istnieje potrzeba — schlaśtał to i owo z życia Włocławka. Z pobudek emocjonalnych nie jestem w stanie spełnić tych oczekiwań. Przeczytałem zresztą „Kujawy”. W jednym z numerów znalazłem tekst o nowej pani dyrektorowej, która steroryzowała wycieczkę do południowych saskich i dalej narzucając odpowiedzialność swojego meza taki sposób bycia, że służba porządkowa kemping w zaostrzonym kształcie gonila naszych turystów z dębowymi pałkami w dłoniach.

Gdzie ma być „Pszczółka”?

Jerzy Dostatni

PRZED kilku tygodniami „Kurier Lubelski” doniósł, że w Muzeum Kolejnictwa w Dęblinie znalazł się niezwykle cenny eksponat — wagon kolejowy, z którego latem 1944 roku nadawała swoje programy mała radiostacja „Pszczółka”. To przed mikrofonem „Pszczółki” zmarły przed rokiem red. Tadeusz Chabros odczytał Manifest PKWN. W muzeum dęblińskim jest nie tylko sam wagon, ale i aparatura radiowa „Pszczółki”.

Zbiory w Dęblinie tylko umownie można nazwać muzeum. Ekspozycje bowiem zgromadzono w bardzo różnych miejscach, nie wyłączając bocznych torów „pod chmurką”. Tak właśnie jest m. in. z „Pszczółką”. Stoi na pierwszym bocznym torze od strony ulicy, która prowadzi do budynku dworca. Teraz zupełnie dobrze widoczna, od wiosny do wczesnej jesieni dość skutecznie zasłaniają ją rosnące obok drzewa.

Inicjatorem muzeum i głównym zbieraczem eksponatów jest pracownik dworca kolejowego Józef Luciński. W poszukiwaniu eksponatów zjeździł kilkakrotnie całą Polskę, zdołał też namówić wielu kolegów, aby podczas swoich wyjazdów służbowych na różne linie bądź zbierali przedmioty związane z historią naszego kolejnictwa, bądź informowali go, gdzie się one znajdują. Bywało, że z własnej kieszeni wyciągał

pieniądze, aby zakupić jakiś eksponat, od lat na poszukiwania poświęcał urlopy. Prawdziwy pasjonat.

PKP przez długi czas nie uznawała istnienia dęblińskich zbiorów, co wyrażało się w tym, iż nikomu nie powierzono oficjalnej opieki nad nimi — sprawował ją społecznie pan Luciński. Dopiero od pewnego czasu otrzymał on pół etatu kustosa, wskutek czego muzeum jest czynne tylko przez kilka godzin popołudniowych. Według zapewnienia pana Lucińskiego muzeum posiada około 20 tys. eksponatów. Ile z nich ma rzeczywiste muzealne wartości? Komisja rzeczoznawców z Ministerstwa Kultury i Sztuki zarejestrowała około 100, podobna komisja z Ministerstwa Komunikacji 400...

Ale wracajmy do „Pszczółki”. Jej wagon kolejowy został wyprodukowany jeszcze w XIX wieku, odnaleziono go na linii Dęblin—Luków. Skąd wiadomo, że to właśnie ten? Potwierdził to swego czasu red. Chabros, spiker „Pszczółki”. Do dzisiaj widoczne są cięcia bocznych ścian wagonu, co trzeba było wykonać w 1944 roku, aby była możliwość umieszczenia radiostacji wewnątrz.

Sama aparatura radiowa nie jest w pełni oryginalna. Po zakończeniu wojny była ona nadal używana przez pewną jednostkę wojskową pod Warszawą. Niektóre części aparatury się psuły i wtedy zastępowano je nowymi, wyprodukowanymi niekiedy już

po roku 1950. Oko fachowców wykryje to bez trudu, zresztą na niektórych częściach widnieją tabliczki z datami produkcji lub nazwami firm, które w roku 1944 jeszcze nie istniały.

Najważniejszą jednak sprawą jest to, czy wagon z „Pszczółką” znajduje się we właściwym miejscu. Moim zdaniem nie. Przede wszystkim dlatego, że nastąpiło zasadnicze nieporozumienie. Wartość historyczną bowiem przedstawia nie sam wagon — podobnych i jeszcze starszych na różnych bocznicach kolejowych można znaleźć wiele. Tą wartością historyczną dla całego społeczeństwa jest radiostacja „Pszczółka” i o nią przede wszystkim należy zadbać.

Dziękując kolejarzom, a przede wszystkim panu Józefowi Lucińskiemu, trzeba jednak wyraźnie powiedzieć, że kolej ani nie jest specjalnie zainteresowana, ani nie ma możliwości doprowadzenia radiostacji do stanu z roku 1944. Ma je natomiast, przynajmniej w znacznie większym stopniu, Komitet do Spraw Radia i Telewizji. I on powinien zająć się zarówno rekonstrukcją jak i konserwacją aparatury. W magazynach radia znajdują się zapewne takie same części, jakie wymieniono podczas powojennej eksploatacji. Niewykluczone nawet, że niektóre z nich będzie można dorobić sposobem rzemieślniczym w warsztatach radiowych.

I druga sprawa — miejsce ekspozycji „Pszczółki”. Bocznicą w Dęblinie nie wydaje mi się miejscem właściwym. „Pszczółka” nie miała nic wspólnego z dworcem kolejowym w Dęblinie ani z samym miastem. Po pierwszej fali zwiedzających, a

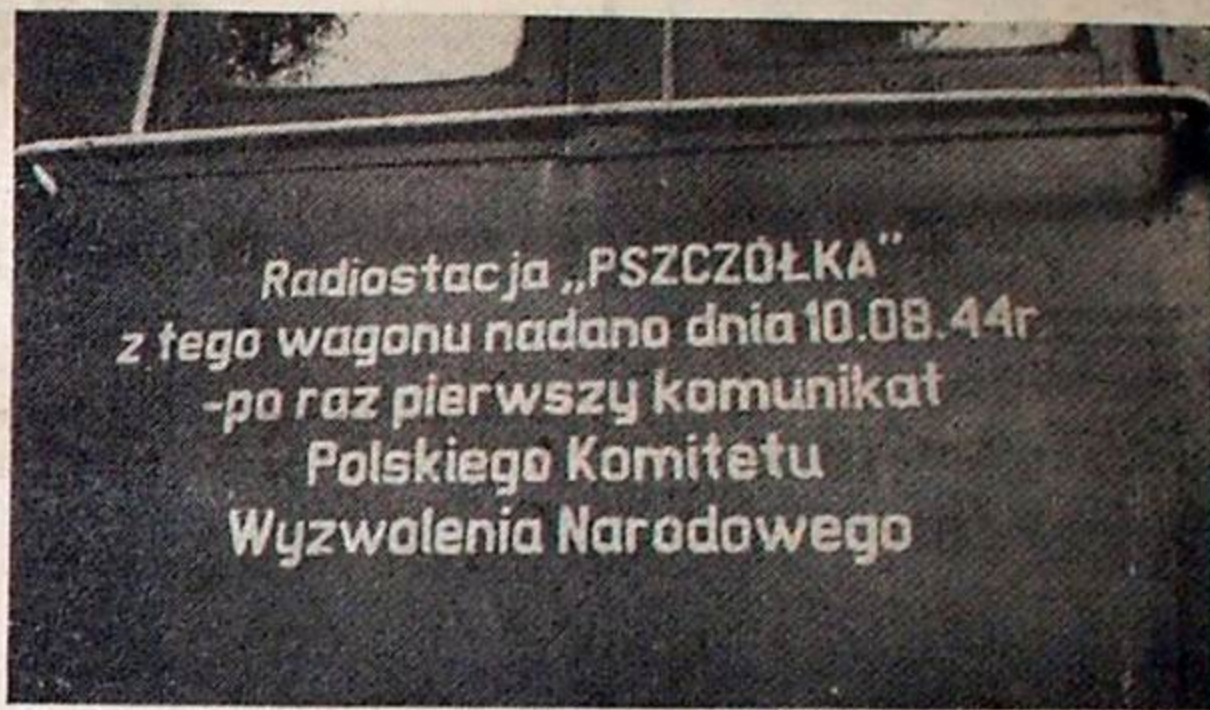
we wrześniu po wycieczkach młodzieży z pobliskich szkół zarówno samo muzeum jak i wagon z „Pszczółką” zwiedzają bardzo nieliczne osoby.

Jestem zdania, że wagon z „Pszczółką” należy przenieść do Lublina. To przecież w Lublinie zaczęła ona swój żywot 10 sierpnia 1944 roku, stąd przez siedem miesięcy nadawała audycje, wpisując się na trwałe w historię pierwszego okresu naszej niepodległości. I tu też powinna powrócić.

Jak wiemy, wagon z „Pszczółką” stał na jednym z bocznych torów dworca kolejowego w Lublinie. Być może dzisiaj ten już nie istnieje, może w tym miejscu przebiega tor, po którym muszą jeździć pociągi towarowe i towarowe.

Moim zdaniem najlepszym miejscem do ekspozycji całego obiektu jest plac przy budynku Rozgłośni Lubelskiej Polskiego Radia przy ulicy Obrońców Pokoju 2. Niemal centrum miasta. Każda wycieczka, udająca się na zwiedzanie LSM, dzielnicy akademickiej czy budynku „pod zegarem” będzie mogła zobaczyć „Pszczółkę”. Także osoby przybywające do samej rozgłośni oraz kilku sąsiednich przedsiębiorstw, organizacji społecznych, instytucji, w niezbyt dalekiej przyszłości widownie budującego się niemal w sąsiedztwie teatru „Pszczółka” będzie wtedy rzeczywiście dostępna dla tysięcy ludzi, przypominając bohaterski okres pierwszych miesięcy naszej nowej niepodległości.

Tylko kto się tym zajmie?



LIST DO PREZYDENTA MIASTA LUBLINA

PANIE Prezydencie! Nie znam właściwych ludzi, którzy mogliby (i powinni) sprawy, o jakich pisać chcę, zatłoczyć, znam zaś Pana i dlatego bezpośrednio do Głowy się zwracam. Z Lublinem jestem związany od przeszło 50 lat. Miasto to pokochałem i, mimo iż tylko na rok tu przyjechałem, zostałem w nim chyba do końca dni moich. Miasto to dało mi złotą odznakę „Za czyny społeczne”, obdarzyło złotym medalem „Zasłużonego dla Lublina”, a i w tym roku, już od lat kilku emerytowi, przyznało nagrodę miasta.

Stary, prawie całkowicie ślepy, chodzę po znanych mi ulicach bez kłopotu, ale — i tu pierwsza sprawa związana nie tylko z moją osobą — dziury w chodnikach i wyboje, w które wpadam, powodują moje potknięcia, upadki, okaleczenia. Moja głowa, dłoń, kolana cierpią bardzo przy gwałtownym zderzeniu się z kamiennymi płytami. Niepewnie czuję się na ulicach mojego drogiego Lublina. Takich jak ja ludzi starych, zniechęconych fizycznie, ale krzepkich jeszcze na umyśle, jest więcej. W ich i swoim imieniu zwracam się do Pana, Panie Prezydencie: proszę polecić odpowiedniemu wydziałowi zająć się tą sprawą, by w przyszłym roku zniknęły z ulic Lub-

lina pokaleczone chodniki, by się te chodniki wyrównały, wygładziły.

Nie lepsze są jezdnie. I to w śródmieściu. Gdy niewielki nawet deszcz spadnie, a przecież deszcze nie są u nas rzadkością, woda nie spływa do kanałów, ale stoi długo, bardzo długo, w szeroko rozlanych „zalewach”, zalewająca na skrzyżowaniach, by jadący szybko kierowcy samochodów mogli obrzygiwać przechodniów czekających na przejściu na drugą stronę ulicy fontannami błotnistej wody. Może by tak pano wie z odpowiedniego wydziału Urzędu Miasta otrzymali kalosze i parasole, a może tylko samochód do dyspozycji, i gdy deszcz zacznie padać (także i po południu!) zapoznali się „w terenie” z sytuacją, nanieśli na odpowiednie plany miasta miejsca, które trzeba koniecznie natychmiast poprawić, by usunąć te pułapki na niewinnych przechodniów. Ja taką kąpiel błotną, ale zimną, otrzymałem darmo na rogu ulic Chopina i Okopowej.

I jeszcze jedna sprawa na koniec pozostawiona. Opiekuję się, Panie Prezydencie, zabytkami w mieście i w województwie. Wiadomo, że i międzywojenne obiekty uznane zostały za zabytki, jeżeli mają walory godne zachowania dla potomnych. Od dłuższego czasu myślę ze smut-

kiem o Janie Kochanowskim. Lublin miał w swoich dziejach sporo ludzi pióra, znakomitych poetów, ale na pewno największym z nich był Jan Kochanowski. Tu przebywał, tu tworzył i tu życie zakończył, gdzieś na lubelskim rynku.

Postawiono mu przed wojną opodal miejsca jego zgonu pomnik; byłem przy jego odsłonięciu. Jaki ten pomnik jest, to jest, ale jest. Lublin postawił pomnik swemu wielkiemu poecie, bo jednak można uznać Jana Kochanowskiego za lublinianina. W czasie wojny hitlerowcy kazali usunąć i zniszczyć ten pomnik, ale nasi dzielni chłopcy wywozili jakiś gruz z miejsca, gdzie stał ten pomnik, a sam pomnik sprytnie ułożyli i zabezpieczyli w wykopie tam, gdzie stał. Schowali, nie pochowali Kochanowskiego, który wydobytą ze schowka po wojnie nie stanął jednak na dawnym miejscu, lecz na wolnym placu naprzeciw teatru. Dlaczego właśnie tam? W miejscu, z którym chyba nie miał nic wspólnego, nie wiem, ale miejsce to nie było najgorsze. Zasadzone tam małe drzewka były ozdobą przed trzydziestu kilku laty, ale teraz wyrosły na wysokość i gęsty ciemny las, w którym to „czarnolesiu” zniknął całkowicie wielki poeta z Czarnolasu. Nie pomaga stanie i pielęgnowanie trawy wokół pomnika, w cieniu ogromnych drzew nie wyrosnie żadna trawa.

Do tego dwie szlachetne instytucje, jakie mocno związane z poezją, pomagają w zasłonięciu skromnego pomnika wielkiego poety. Oto wspólnymi siłami Muzeum im. Józefa Czechowicza i obok niego mieszcząca się Wojewódzka Biblioteka Pedagogiczna im. Komisji Edukacji Narodowej obstarwiły cały plac i zbolalego autora „Trenów” pracami

malarskimi dziełami nie żałującymi krzykliwych farb w swoich dziełach. Czy naprawdę nie było wolnego jakiegoś wnętrza na tę sztukę, tylko ten i tak zarośnięty placik oddany po wojnie Kochanowskiemu?

Panie Prezydencie! Podobno nie wolno wycinać bez zapłacenia kary w naszym mieście żadnego drzewa. Dobrze, ale przecież te drzewa wokół Kochanowskiego wyrosły dopiero po wojnie, nigdy przedtem na tym placu żadnych drzew nie było! A jak zyskałaby architektura otaczająca ze wszystkich stron ten placik i nieszcześnie pomnik Jana Kochanowskiego? Może jednak w drodze jakiegoś najwyższego zezwolenia da się te drzewa usunąć czy przenieść na inne miejsce, a na placu u stóp pomnika urządzić niżejki kwietnik, najwyżej do wysokości róż polianów i dużo niskiej, zielonej trawy. Pano wie architektki od takiej ładnej kosmetyki chyba nie zganiają takiego projektu, jako że dopiero wtedy wystąpi na widownię tak pomnik Jana Kochanowskiego, jak i odsłonięte budynki otaczające ten placik.

Panie Prezydencie! Proszę uderzyć pięścią w stół, w swoje biurko i zarządzić ukazanie lublinianom i przyjeźdnym biednego poety schowanego (czy przed Józefem Czechowiczem?) w kępie zbędnych tam drzew. Poeci, architekci, malarze, opiekunowie spoteczni nad zabytkami i młodzież ucząca się o poezji Złotego Wieku i Janie Kochanowskim już Panu za ten czyn opieki nad zabytkami dzisiaj dziękują.

Stefan Wojciechowski

Kamena str. 9

ZA sterłą potłuczonych płyt talismana azbestowo-cementowego, czyli eternitu poszukiwanego w budownictwie rolniczym do krycia dachów, nie znajduje raczej żadnych cienkości i komplikacji psychologicznych, tylko grubiankie marnotrawstwo.

Od Andrzeja Filipczaka, wicedyrektora włodawskiego oddziału Spółdzielni Transportu Wiejskiego, usłyszałem, że najgorszy jest eternit z Małkini i Lublina, wprost rozlatuje się w rękach. Pierwsze, najpoważniejsze zresztą, szkody ustala się na progu wagonu, po przewozie eternitu koleją do stacji Włodawa (4318 uszkodzonych płyt spośród 55 637, dostarczonych do Włodawy w ciągu dziesięciu miesięcy br. z Lubelskich Zakładów Eternitu). Potem jeszcze służki w przeładunku i transportie samochodowym STW do odbiorców terenowych, czyli GS-ów (dalsze 1506 płyt). Łącznie ponad 10 procent strat!

Stacja PKP we Włodawie każdorazowo sporządza komisyjny protokół co do ilości i rodzaju uszkodzeń. STW — w swoim zakresie podobnie. Zamówione płyty — całe i rozbite — otrzymuje określona GS i komisyjnie ustala, które służki można po obniżeniu ceny sprzedać chłopom, a które trzeba na śmietnik wyrzucić, oraz składa reklamacje u producenta, co najczęściej prowadzi do następnej komisji — arbitrażowej tym razem.

Tutaj ostro wszyscy walczą przeciw wszystkim, lecz nie zawsze o prawdę, a najczęściej, izby nie płacić za szkodę. STW na ogół podnosi, że płyty są złej jakości, dlatego pękają w transporcie. PKP — że wagony dobre, przewóz prawidłowy, a płyty już w stanie uszkodzonym mogły być załadowane w Lublinie na bocznicę LZE, który to załadunek odbywa się bez przedstawiciela kolei. (Później dowiem się, że pisma LZE do PKP o delegowanie takiego przedstawiciela pozostały bez odpowiedzi, więc argument kolei przypomina pretensje do garbatego, iż ma dzieci proste!). PZU, również pozwany w tych sprawach, twierdzi, że rozmiar służek zbyt wielki, aby mówić o losowości szkody.

Sprytny radca prawny zawsze znajdzie jakiś szczegółowy, choć nie-realistyczny, przepis, żeby zdyskredytować niewygodny dla przedsiębiorstwa wniosek, ustalenie czy protokół strony przeciwnej. A to że odbiorca, GS, nie zlecił fachowcom dokładnej ekspertyzy kwestionowanego eternitu. A to że wniosek GS „nie podaje wymaganych procedur arbitrażową: nazwy jednostki nadrzędnej, numeru konta i numeru statystycznego”. Ze w protokole kolejowym „nie określono stopnia uszkodzenia, to znaczy w jakim procencie każda płyta została uszkodzona”. (Skoro w transporcie jest kilkaset uszkodzonych!). Ze za mało podpisów w protokole STW.

W pretensjach natury protokolarnej celuje zwłaszcza radca prawny producenta, mgr Adam Warakowski, adwokat: „nie podano (w protokole kolejowym) bardzo ważnych danych odnoszących zabezpieczenia płyt oraz przyczyn powstania szkody”, „protokół nie podaje, w jaki sposób płyty były zabezpieczone na samochodach i w jaki sposób były załadowane”, „w oparciu o przedstawione protokoły kolejowe i STW brak jest podstaw do uznania roszczenia, szkody mają charakter losowy”.

Protokoły przewoźników nie wystarczają LZE, aczkolwiek wystarczają Okręgowej Komisji Arbitrażowej w Lublinie. W orzeczeniu z 7 września br., przysądżającym od LZE na rzecz GS we Włodawie kwotę 13 451 złotych, napisano: „przy rozpatrywaniu szeregu sporów na tle służki płyt Komisja już niejednokrotnie stwierdziła, że Lubelskie Zakłady Eternitu w Lublinie dostarczają płyty o słabej wytrzymałości”!

Na tarczy więc, niestety, pozostają LZE. I tutaj jeszcze jeden przykład, niemal groteskowy. Na 1200 płyt eternitu, wystanych z Lublina do Włodawy 30 XI ubiegłego roku, do stacji włodawskiej przyjechało 230 sztuk uszkodzonych, z czego jedynie 132 nadawały się do sprzedaży po obniżonej cenie. W transporcie samochodowym sfluowało się dalsze 25 płyt. Na wniosek GS we Włodawie przyjechał przedstawiciel LZE, Stanisław Kali-

nowski, specjalista do spraw kontroli jakości, i w towarzystwie dwu pracowników GS zajął się nie eternitem uszkodzonym w transporcie, lecz pozostałymi 913 płytami, z których 108 przecenili (komisyjnie odczywiście) z 71 zł sztuka na 56 zł, 36 — po 48 zł, 19 — po 40 zł, 26 — po 24 zł, 32 — po 16 zł oraz 13 — na złom! Straty transportowe pozostawiono łaskawości PZU.

Nieco innego zdania była Okręgowa Komisja Arbitrażowa w Lublinie, gdy PZU odmówił zapłaty. Orzeczeniem z 15 września br. przysąd-

Zakład miał być w 1980 roku likwidowany, planowało się wczesną budowę nowego, ale przyszły obiektywne ograniczenia inwestycyjne i zostało po starciu — jak powiada dyrektor Wiszniowski, odsyłając mnie i moje zastrzeżenia do tak zwanych czynników wyższych, niezależnych od dyrekcji i załogi fabryki.

Zostałem też odesłany do chelmskiej cementowni, skąd LZE bierą surowiec podstawowy, cement własnie, marki „450”. A cement ten bywa nieodpowiedniej jakości. Poka-

brotu towarowego. Zaak, że płyty wyprodukowane, na przykład 3 marca br. transport o wytrzymałości 133,09; z poprzedniego dnia transport o wytrzymałości 431,40. Obie partie wyprodukowane 26 lutego br. W ten oto sposób LZE postępują wbrew ustaleniom własnego reżimu technologicznego, gdzie wyraźnie napisano: „Wydawanie wyrobów z magazynu może nastąpić po uzyskaniu przez wyroby parametrów wytrzymałościowych zgodnych z PN 71/B-21011”.

Ale może to być jakieś niecne pojęcie humanistycznego frajera, który nie zna się na technicznej dokumentacji, albowiem Wacław Wiszniowski, Stanisław Kalinowski i Zygmunt Stefaniak kategorycznie twierdzą, że nie wysyłają płyt o wytrzymałości poniżej normy, pozwalając się właśnie na cytowany z reżimu technologicznego fragment, który mi pokazał palcem Tadeusz Rosłoń, główny technolog LZE.

Samodzielna lektura reżimu technologicznego LZE doprowadziła mnie do następującego fragmentu. „W magazynie płyty przechodzą okres końcowego dojrzewania, który trwa do czasu uzyskania przez wyroby wytrzymałości na zginanie zgodnej z PN 71/B-14041 (minimum 12 dni). Po tym czasie płyty są ekspediowane do nabywców”.

Zestawienie zapasów w magazynie z dzienną produkcją wiedzie do prostego wniosku, że płyty eternitowe dojrzewają w LZE od trzech do siedmiu dni, a potem są ekspediowane w świat, oczywiście znowu niezgodnie z reżimem technologicznym. Nie wystarczy bowiem, żeby eternit osiągnął wymaganą wytrzymałość, potrzebuje ponadto określonego czasu dojrzewania, by mógł znieść trudny transport. LZE udają, że o tym nie wiedzą, i może dlatego w ogóle nie stemplują swoich płyt datą produkcji, co z kolei jest niezgodne z normą! Zdaje się, że PN 71 i tak dalej.

Nad LZE nie stoją żadni poganiacze, ponieważ fabryka ma tegoroczny plan obniżony w stosunku do ubiegłorocznego o około 67 tysięcy płyt, właśnie ze względu na niedobory zatrudnienia w produkcji podstawowej oraz przewidziane przestoje remontowe. Dyrektor Wiszniowski powiada, że w zeszłym roku ponad 2 procent produkcji zakład spisał na straty, co się wyraża kwotą 1 949 000 złotych, w tym roku raczej będzie lepiej, gdy tymczasem taka na przykład Małkinia produkuje tylko dwa razy więcej niż LZE, a spisuje na straty pięć razy więcej.

Nie wiem, czy to wszystko może stanowić jakieś pocieszenie i pocynam wątpić w oficjalne statystyki zakładowe, kiedy widzę przed magazynem LZE rolnika, który w ramach tak zwanego odbioru własnego ładuje na przyczepę traktorową siedmiodniowy eternit o wytrzymałości 192 kg na centymetr kwadratowy (a więc powyżej normy znacznie). Chłop płacący za płyty po 89 złotych bierze każdą sztukę oddzielnie w rękę i żeby załadować 197 sztuk, musiał odrzucić 79, łamiących się na dwoje, troje i czworo. Może to są prawdziwe proporcje jakościowe w LZE?

Kwoty przegrane w arbitrażu gospodarczym czy wypłacone z racji uznanych przez LZE reklamacji idą w straty przedsiębiorstwa, ale przecież konkretni ludzie z konkretnych przyczyn wyprodukowali konkretne buble i konkretni ludzie decydują o spedycji złe przygotowanego towaru. Nie wszystko zależy od trudności zewnętrznych czy tak zwanych obiektywnych. O tych prostych prawdach warto pomyśleć, bo na razie widać tylko konkretne buble, a nie widać konkretnych ludzi.

Owszem, już w tym roku siedem osób zostało dyscyplinarnie zwolnionych za pijaństwo w pracy. Co miesiąc przynajmniej dwie osoby dostają nagany za to samo. Nadal jedyną portierką i robotnicą, bywa, handlującą wodką w zakładzie. Słyszę, że dyrekcja nie panuje nad sytuacją i posiada nikły autorytet wśród załogi ze względu na jakieś niezdrowe układy personalne. Trudno w takim razie myśleć o poprawie dyscypliny pracy.

Nie tak dawno z dachu głównej hali produkcyjnej LZE zdjęowano eternit. Przy okazji wyciągnięto gwałdzie międziane w pierzmych właściwości nazwiskiem wyrostłych właścicieli fabryki, braci Rejskich, i data 1914. Ten eternit przeleżał na dachu zakładu przeszło 60 lat! Wątpię, czy eternit produkowany aktualnie w LZE dożyje gdziekolwiek „głębokości wieku chrystusowego”.

PO IX PLENUM KC PZPR

Buble na dłoni

Maciej Podgórski

działa od LZE 10 953 złote za szkody transportowe na rzecz GS. Oto fragment uzasadnienia: „stwierdzono 230 płyt uszkodzonych, a uszkodzenia te polegały na odlamaniu rogów, których w wagonie nie było, płyty te posiadały ponadto dziury posrodki, były popękane, o nierównej grubości, niektóre z nich były bardzo cienkie, a ponadto wszystkie płyty były mokre, chociaż wagon był suchy, nie miał przecieków...” Przecież to się przysnąć może!

Wacław Wiszniowski, długoletni dyrektor Lubelskich Zakładów Eternitu, nie ukrywa, że sytuacja zakładu jest ciężka. Fabrykę skończono budować i uruchomiono w 1914 roku. Z tamtych czasów pozostała główna hala produkcyjna, za krótką obecnie, żeby w niej instalować nowoczesniejsze urządzenia. Zresztą podstawowa maszyna także pochodzi sprzed I wojny światowej, a raczej jej idea tylko została, bo w tak zwanym międzyczasie urządzenie przeszło szereg „domowych” remontów i wymian części, klepanych w fabrycznym warsztacie. Najpoważniejsza modernizacja fabryki datuje się sprzed lat dwudziestu blisko, kiedy uruchomiono drugi ciąg produkcyjny. Nadal wiele ciężkich prac niezmechanizowanych.

Warunki pracy w produkcji podstawowej bardzo trudne ze względu na mizerne zaplecze socjalne i przestarzałe urządzenia, zapylenie. Przy tak zwanej rozbiórce stosów kobiecia w ciągu ośmiu godzin musi przemieścić do 25 ton ciężaru! W tej sytuacji z wielką trudnością dają się wprowadzić akord. Ludzie uciekają z zakładu do lepszych warunków i lepszych plac. W ubiegłym roku fluktuacja załogi sięgała 61 procent. Aktualnie do pełnego zatrudnienia 275 osób brakuje 27 pracowników. Kto chce, bierze godziny nadliczbowe w nadmiarze. Są tacy — to już ustaliłem we własnym wyłącznie zakresie — co w październiku mają tych godzin po tysiąc (!) od początku roku. Czyli pracują po 16 godzin na dobę, choć zasady BHP mówią o maksimum dwunastu, zmęczeni i niewyspani. Jak tu myśleć o jakości wyrobów!

zakończono mi orzeczenie o jakości cementu z 25 czerwca br., wydane przez lubelski „Miastoprojekt”, gdzie przeczytałem, że cement ów „wiąże” po 7 minutach, a powinien najwcześniej po 40. Taki cement betonuje urządzenia przede wszystkim, a jeśli jakimś cudem da się zeń wyprodukować eternit, to złom jedynie. Ponadto cement chelmski „450” miewa dodatki, żużel choćby, a powinien być czysto klinkierowy, gdyż wspomniane dodatki obniżają wytrzymałość eternitu.

Do cementowni chelmskiej nie pojechałem, obawiając się, że mnie stamtąd odesłają do mocy nadprzyrodzonych, w których gestii leży jakość margli, wapieni i gliny. Tym bardziej iż w samych LZE miałem jeszcze planowane dalsze rozmowy i penetracje.

Zaproponowałem dyrektorowi Wiszniowskiemu, który przywołał do pomocy Zygmunta Stefaniaka, kierownika działu obrotu towarowego, żebyśmy przesłędzili genozę konkretnej wysyłki, choćby owych 1200 płyt do Włodawy z 30 listopada ubiegłego roku.

Istnieje urzędowa notatka, stwierdzająca, że 30 listopada była badana wyrwykowo partia 1200 sztuk eternitu, przeznaczonych do wysyłki, a wyprodukowanego trzy dni wcześniej. Płyty miały wytrzymałość na zginanie 133,87 kg na centymetr kwadratowy, czyli znacznie poniżej normy (160). Na dokumencie widnieje odręczna adnotacja Zygmunta Stefaniaka: „Proszę wysłać transportem kolejowym następnego dnia płyty azbestowo-cementowe w II gatunku”. Ale — jak wynika z listu przewozowego — 1200 sztuk eternitu zostało wysłane w tym samym dniu do Włodawy. Co to za płyty wysłano i skąd się wzięły, nikt w LZE nie umie dziś odpowiedzieć. A może po prostu całą partię o wytrzymałości 133,87 przekwalifikowano do II gatunku i wysłano w świat 30 listopada?

Wyłowitem kilkanaście podobnych dokumentów, stwierdzających wytrzymałość eternitu poniżej normy, które nawet nie zawierały analogicznej adnotacji kierownika działu o-

Pieśń o chwili

Eugeniusz Hucolo



ei

Rys. E. Inglot

który pędził wysokie fale po rwącej wodzie, po brzegach i zakolach. Szeszydry błękit bezchmurnego nieba odbijał się w wodzie, ślizgał po falach, mieniąc się mnóstwem odcieni. Płynęła błękitna rzeka, biegły błękitne fale — ruch wody, plusk również były błękitne. Jakby panująca błękitna barwa rzuciła żywy cień na przybrzeżne zarośla, na urwiska i lasy; i nie tylko na świat widzialny, lecz także na niewidzialny. (kany z nastroju, doznań, bezwiednych refleksji). — wszystko, co tworzyło duchowy ład, jakby również posiadało ten żywy kolor błękitu zabarwionego wiatrem.

Jakimi pociągnięciami pędzi namalowała jesień wioskę nad Dnieprem!

Przed wszystkim nie poskapiła słońca. Promieniem słonecznym była przepelniona każda trawka, ulice i sady stały ciche w blasku światła. Przechodnie nieśli słońce na twarzach, ich spojrzenia utkane były z dobrego słonecznego światła — zieleni i błękitu. Nie gruszeki złociły się na gałęziach, lecz woskowe dzwoneczki, przepelnione blaskiem; zupełnie tak samo kaczany kukurydzy płonęły dźwięcznymi ziarenkami światła; i również dzika róża na wzgórzach śmiała się owocami żywej i niepowtarzalnej barwy.

Zadnych barw nie poskapiła jesień naddnieprzańskiej wiosce i wszystkie one — wiśniowa, purpurowa, żółta, czerwona, granat — były żywym tworem żywej ziemi. Dziełem galezi, listowia, owoców, trawy, burzanu, ptaków, zwierząt, ludzi. Kolory te nie zastygły w bezruchu, były żywą mową, żywym wyrażeniem, rosły, kwitły, kołysały się, biegały, śmiały się, płakały, wyglądały swobodnie, niezależnie, harmonijnie dobrze, wszystkie były potrzebne — barwy odległego jesiennego dnia naddnieprzańskiej wioski.

Dlaczego jednak dzień tamten nie został zapamiętany? Przecież nie się wówczas nie zdarzyło. Skąd to ciepło przy wspomnieniu, jakim ogniem jest wciąż karmione? Dzień był utkany z krótkich chwil, które u nich przywołują go w pamięci.

Stronem brzegiem nad rzeką szła kobieta, niosąc dziecko na rękach

Żółto-brązowe urwisko całe zalane było słońcem, a bielejąca w oddali ścieżyna wila się pomiędzy jego starczymi bruzdami. Kobieta o smagłej zadumanej twarzy, ubrana w białą bluzkę, szła cicho, a w jej chodzie i w sposobie, w jakim niosła swe jasnowłose dziecko, wyczuwało się natchnioną lekkość, uduchowioną kobiecość. Czy nie zdziwiłbyś się, słysząc nagle pieśń, pieśń o matce i dziecku? Nagle matka i dziecko wyszli prosto z tej pieśni i skierowali się brzegiem ku rzece.

Tak oto tamtego dnia szli z pieśnią ku Dniepromi...

A sam grzbiet urwiska był rozdarty transzeją, która pozostała tu od wojny. Zakrętek okopu obyspał się, zarósł burzanem. Kiedyś siedzieli tu Niemcy, wrogowie. Celowali stąd w tę bezkresną naddnieprzańską wolną ziemię, z której przybliżała się nasza armia.

Tam, gdzie przed chwilą zeszała do rzeki matka z dzieckiem, tak niedawno chodziła śmierć...

Wieczór roztopił złoto nad horyzontem, ileż czerwieni żaru i ciszy wylało się ze słonecznej dzieży! Rozlało się po niebie, po dalekich polach, łąkach i w naddnieprzańskiej wiosce, która w tym świetle zdawała się piękniejszą innym pięknem niż za dnia. Wędrowaliśmy z przyjacielem z jednego krańca wio-

ski na drugi, a on opowiadał o ludziach, napotkanych po drodze. Opowiadał o tym, co wydarzyło się w ich życiu, o losie ich bliskich i przodków. Z opowiadań tych zapamiętałem niewiele, — słowa obyspały się jak maki na wietrze, jedynie świadomość zataiła ich odgłosy... Oto żył tu jeszcze przed rewolucją człowiek o ogromnej sile, wyrwał z korzeniami niemal drzew i przywlokł je z lasu do domu. Dawno już nie ma takiego człowieka, a opowieść o nim żyje do dziś... W tym podwórku mieszka były podpułkownik, opowiada historię wyzwolenia wioski... Sasiaduje z nim interesujący staruszek — wąpli we wszystko, rozmowa z nim daje się niekiedy we znaki, taki jest ostry, gwałtowny, zjadliwy...

Noc spowila naddnieprzańską wieś. Wśród gór jaśniały gdzieniegdzie rozrzucone chaty, a na zboczach wzgórz i w wąwozach ciemniały lasy. Noc ukryła wszystkie barwy, które stały ciche, głębokie i teraz księżyc rozlewał po rzece swoje światło. Wędrowaliśmy z urwiska na urwisko, z wąwozu do wąwozu, przedzieraliśmy się przez jakieś zarośla; to wchodził w ciemność gęstwiny, gdzie pachniało wilgocią i goryczą opadłych liści; to znów zatrzymaliśmy się na równinnych polanach, pachnących piołunem i zwiedniętym listowiem, a nad nami wznosiło się niebo, świecił na nim samotny, stary i smutny księżyc. Przechodziliśmy z zastygłych fal ciemności w nieokreślone zastygłe fale światła, pograżając się na moment w mrok, to znów świecąc w księżycowym blasku; i był to już zupełnie nieprawdopodobny pochod przez jesień na urwiskach, przez potoki światła, przez gęstwiny mroku, przez wszystkie zapachy: konopi, wiśni, grabu, lopianu, akacji...

Dzień, wieczór, noc spędzona w naddnieprzańskiej wiosce. Co to jest archeologia uczuć? Wśród różnorodnych nawarstwień czasu, wśród małości, szarości i codzienności świeci się w tobie ten jesienny dzień, a ty z fascynacją poszukujesz przyczyny. Czyżby tamtej jesieni był tylko jeden piękny dzień? Czy nie przeżyłeś później podobnych? I czyż nie były one utkane z nici przypadkowych wrażeń, z mgnień znajomych nastrojów? A właśnie ten, nie wiadomo dlaczego, stał się niezapomniany, i tylko ten nie przestaje świecić z przeszłości... Bezmiar błękitnej wody w rzece, błękitne pola łąk, barwy jesieni we wsi, wieczór leje roztopione złoto, nocne lasy na urwiskach, zatopione w księżycowym blasku...

I wtedy powraca w pamięci młoda matka, schodząca nad rzekę z dzieckiem.

Między starczymi bruzdami ziemi jaśnieje biegać w dół sucha ścieżyna, a w blasku południowego słońca, natchniona swą kobiecością, idzie młoda matka. Jasnowłose dziecko na jej rękach ciekawie przygląda się otaczającemu światu. A z tyłu, za plecami matki i dziecka, garbi się urwisko, na którego skraju wile się wrogi okop.

Tam, gdzie kilka dziesięcioleci wstecz chodziła śmierć, w ten spokojny dzień idzie ku rzece matka z dzieckiem.

Idzie, jakby z pieśni. A może w pieśń? Tak oto toczy się życie — i prosto w pieśń?

Promienieje z tamtego jesiennego dnia obraz matki z dzieckiem. Dzień utkany był z wielu chwil, i dusza przykazała mu: „Zatrzymaj się!” I piękno usłuchoła jej szepta.

(„Znamja” nr 8/1976)

Tłum. Wiesława Woźniak

60 lat i jeden dzień

60 LAT władzy radzieckiej — to równocześnie 60 lat nieustannego postępu i rozwoju radzieckiej nauki i techniki. Przywódca Rewolucji Październikowej — historycznego wydarzenia, którego znaczenie docenia, bez względu na różnice ustrojowe, cały świat — wielokrotnie akcentował rolę postępu naukowo-technicznego w społeczeństwie socjalistycznym, gdzie — uwolniony od klasowego piętna — służy on masom pracującym. Słuszności tego poglądu Lenina dowiodła cała historia Radzieckiej Rosji i Kraju Rad, który orzeźwił się w potęgę ekonomiczną i naukowo-techniczną, stał się krajem prawdziwej ekspansji wiedzy, wykorzystującej rozległe, stworzone przez ustrój możliwości twórcze w służbie człowieka.

Rolę równie doniosłą co „profesjonalnej” nauce i technice przy pisywał Włodzimierz Iljicz nowatorskiej myśli każdego człowieka pracy: już w lipcu 1919 roku Lenin podpisał specjalny dekret „O wynalazkach” nakładający na pierwsze w świecie państwo socjalistyczne obowiązki dbałości o stały postęp w przemyśle i technice.

Po trudnych latach dźwignia zaniedbanego ekonomicznie kraju, budowy zrębów nowoczesnej gospodarki, tworzenia technicznych podwalin przemysłu — przyszedł czas dyskontowania naukowych osiągnięć. Spektakularny swój wyraz — przemawiający do wyobraźni i odnotowany na zawsze na kartach historii — znalazły one w locie „Sputnika” i kosmicznej wędrowce Gagarina — wy-

darzeniach otwierających nowy rozdział w dziejach ludzkości i w widomy sposób potwierdzających zarazem, czego może dokonać myśl badawcza w ustroju socjalistycznym. Pierwszego kroku w przestrzeń okołozemską dokonało przecież państwo, w którym przed 60 laty większość obywateli nie umiała czytać ani pisać...

Najistotniejszym jednak z perspektywy owych sześciu dziesięcioleci jest nie efektowny lot w kosmos — a to, czego radziecka nauka i technika dokonały na ziemi. Tej ziemi zresztą służą przede wszystkim kosmiczne badania.

Oto jeden dzień w Związku Radzieckim roku 1977. W tym dniu radziecki przemysł wyprodukował 5675 samochodów różnych typów, 165 tys. zegarków, 19 tys. telewizorów, 29,2 mln m kw. tkanin różnych gatunków, 2054 tys. par obuwia skórzanego, 1533 traktory, 359 tys. ton cementu, 270 tys. ton nawozów mineralnych. Radzieckie kopalnie wydobły 2009 tys. ton węgla oraz 1507 tys. ton ropy naftowej i kondensatu gazu; z wielkich pieców spłynęło 417 tys. ton stali. W tym samym dniu radzieckie koleje przewiozły 10,4 mln ton towarów i 9,8 mln pasażerów,

63,9 mln ton ładunków, przewiózł transport samochodowy, a z samolotów „Aeroflotu” skorzystało 288 tys. osób...

Tych kilka imponujących liczb dobitnie świadczy, jak ogromne przeobrażenia dokonały się dzięki zwycięstwu socjalizmu w kraju, który dziś zajmuje czołową pozycję w świecie w wielu dziedzinach wiedzy, techniki, gospodarki. Możliwe to było przede wszystkim dzięki jednemu z podstawowych osiągnięć młodego państwa radzieckiego — upowszechnieniu oświaty i nauki. Twórcami sukcesów swej ojczyzny są wszak od dawna uczeni, inżynierowie i technicy, którzy kształcili się, zdobywali i doskonalili swą wiedzę w Kraju Rad. Obecnie w uczelniach, instytutach i placówkach badawczych ZSRR pracuje ponad milion pracowników naukowych. Równocześnie rośnie kadra ich następców: blisko 5 mln młodych ludzi kształci się pilnie w szkołach wyższych; ze wskaźnikiem blisko 200 studentów na 10 tys. mieszkańców ZSRR znajduje się w czołówce światowej.

(nit)

Mosty przyjaźni

O KSIĄŻCE „Mosty przyjaźni” mam dwie opinie. Pierwsza jest na tyle pozytywna, iż polecam ją każdemu, kto wybiera się z sąsiedzką wizytą przyjaźni za Bug — do obwodu brzeskiego lub wołyńskiego. Ma bowiem w tej książce bogatą treść informacyjną, obejmującą okres od czasów ostatniej wojny, konkretnie — od bohaterskiej obrony twierdzy brzeskiej w 1941 roku, aż po dzień dzisiejszy. Ważne fakty i wydarzenia, sylwetki ludzi prostych a zarazem niezwykłych, dokonania, dzięki którym zniszczona przez hitlerowski napastnika ziemia rodzi coraz obfitsze plony, na której wyrastają coraz piękniejsze domy i szkoły, gdzie produkują coraz nowocześniejsze fabryki, gdzie rodzą się ludzie przyjaźni, serdeczni i pracowici.

„Mosty przyjaźni” to zbiór prac 14 dziennikarzy lubelskich, którzy w ostatnich latach dzięki współpracy z redakcjami brzeskiej „Zari”, „Radiańskiej Wołny” i rozgłoszani radiowymi mieli wielokrotnie okazję zwiedzać oba obwody, poznać ludzi i ich problemy. Ale duża liczba autorów — i to moja opinia druga — powoduje, że w tym jakby almana-

chu znalazły się prace bardzo różne — reportaże, artykuły publicystyczne, sprawozdawcze, informacyjne. Najlepsze, najbardziej „chwytliwe” są reportaże, w których literacka forma idzie w parze z pokazaniem sylwetek ludzi niby zwykłych, a przecież zarazem niezwykłych. A więc oba reportaże Mirosława Dereckiego („Dwa punkty widzenia” i „Ech, co za człowiek!”), Tadeusza Tuczkiwicza „Ciocia Olga” czy Józefa Kisielewicza „Spotkanie z kosmonautą”. Szkoda, że takich pozycji nie ma więcej.

Książka została wydana przez Wydawnictwo Lubelskie przy pomocy finansowej Wydziałów Kultury i Sztuki urzędów wojewódzkich w Białej Podlaskiej, Chełmie, Lublinie i Zamościu oraz Lubelskiego Towarzystwa Przyjaciół Prasy, Radia i Telewizji, słowo wstępne napisał prezes Lubelskiego Oddziału Słow. Dziennikarzy Polskich Włodzimierz Wojcikowski. Warto podkreślić, że Lubelskie Zakłady Graficzne złożyły i wydrukowały książkę w ciągu dwóch miesięcy.

„Mosty przyjaźni”, Wydawnictwo Lubelskie 1971 r. str. 156, nakład 2000 egz., cena 12 zł

Książka dobra niekonieczna

PO przeczytaniu książki Teresy Krzemień „Znajomi nieznajomi” popadłem w spór ze sobą. Jest to książka — zbiór wywiadów — napisana dobrze. Więc czego chce? Jak można mieć pretensję do książki napisanej dobrze?

Do czegoś w ogóle dobrze zrobionego? A jednak można. Na przykład festiwal piosenki w Opolu to impreza organizowana świetnie, a mam pretensję, że w ogóle jest. Nie mogę odmówić precyzji baletowi, którego nie cierpię. Nie odbieram od strony artystycznej współczesnej architektury, która jest znacznie funkcjonalniejsza od dawnej. No cóż: większość marszów hitlerowskich to świetna muzyka, która się nie może podobać. Przykładów mnóstwo.

A o co mam pretensję do „Znajomych nieznajomych”? O to nacylenie wywiadu, które — mimo wszystko — zatrać minoderię. Wywiad z pisarzem. Zgoda. Na temat wektorów rozwojowych współczesnej kultury. Na temat odpowiedzialności pisarza w prezentowaniu stanów ostatecznych. Na temat latających spodków, przybyszów z kosmosu, trójkąta bermudzkiego. Ale żeby pisarz Ikański mówił o pisarzu Ikańskim? Coś tu nie w porządku. W dodatku jaka perfidna pułapka na autorów! Albo są w stosunku do siebie krytyczni i wtedy łatwo posadzić ich o podlizywanie się czytelnikowi, o popisywanie się skromnością, jeśli nie — dosłownie rzecz rozumiejąc — o przyznanie się do mankamentów, albo są niekrytyczni, pełni dla siebie uznania i wtedy zadufkownictwem wieje na kilometr. A w ogóle to muskanie własnej osobowości. „Panie X, powiedz Pan, co Pan sądzi o Panu X”. Niektórzy z X-ów (ci nawet znacznie) nie omijają pokusy w postaci sposobności do zaprezentowania się z lepszej strony i dopowiadają do siebie własne komentarze, nie zawsze mające pokrycie w dziełach. Albo mówią nijakości, które z tych wyzyn i tak mają być rozumiane jako cenne wypowiedzi.

Mam więc pretensję do dobrze napisanej książki. Ale sama sobie winna. Powinna powstać nie według takiej koncepcji. Osoba pisarza jest mimo wszystko bardziej na cenzurowanym niż jego utwór, dlatego teren, na który Krzemień wkroczyła, jest podminowany mnóstwem niebezpieczeństw. W końcu co otrzymujemy? Wyrwykowe, w luźny, towarzyski sposób podane wiadomości, że jeden robi stół, drugiemu nie zależy na tym, co będą o nim myśleli po śmierci, trzeci rozmawia częściej cze-

koladkami, czwarty wprost przeciwnie: glukozą. Wyszła menażeria. Nie biadoleć z braku jakiegoś „wspólnego mianownika”, nie wolam o ramy „zbiorowego portretu”, ale też nie jestem przekonany, że dano mi książkę potrzebną.

Ba, czy przybliżyła ona portretowanych? Warto, by ktoś w końcu rozprawił się z leżą, że prawdziwy pisarz to pisarz en pantouffles, pisarz w zaciszu domowym, amator określonego gatunku wina, czy racuchów. Te szczegóły wcale nie charakteryzują charakteryzowanych i nie ma się co do nich odwoływać. Prawda, w książce Teresy Krzemień jest ich przyzwoicie mało, ale też i czuje się nieustanną tendencję, by jakimś „odehyleniem” uatrakcyjnić prezentację, nadać jej pełniejszy smak. Co mam smakować? Jeden powie, że reaguje impulsywnie, z pełnią emocjonalnego zaangażowania, i już bym był bliski recepty na pisarskie powodzenie, skoro mówi to o osobistość wybitna, ale tuż o stroniej drugi oświadcza, że nie lubi bebechowatości, natomiast ceni sobie dyskrecję — i bądź tu mądry. W dodatku nie charakteryzuje to nawet ich dzieł, charakteryzuje zewnętrzne sylwetki, temperamenty nie pisarskie. Przyboś, który był niezwykle agresywny jako krytyk i polemista, w życiu społeczno-towarzystwym zachowywał się nader powściągliwie. To samo Passent, to samo Bereza. A że nie Kalużyński? To wiem z telewizji i interwiew mi tu niczego nie wniesie.

Powtarzam: nie neguję potrzeby wywiadów z pisarzami, aktorami, plastykami. Ale na tematy, nie na autotematy. W tym drugim przypadku mamy do czynienia ze zdjęciem zbiorowym, na którym z natury rzeczy każdy się wypina, by się zmieścić na fotografii, a jeszcze lepiej — by wyjść ciekawiej i bardziej imponująco od sąsiada. Powiedziałbym nawet — ale to już moje własne wyuczucie, z którego rachunku nie będę zdawał — że wszyscy nawzajem się po trosze lekceważą. Skąd takie wrażenie? A no, każdy mówi o czym innym (in spe ważniejszym), a nawet jeśli o tym samym, to z konieczności — na tym tle — w arbitralny sposób. Do diabła! Bardziej mi ten album nie pasuje. Rozpada się na poszczególne fotki.

Oczywiście, w ostatnich zdaniach niniejszego tekstu przechodzę na teren zdecydowanie subiektywny, ale wolno to zrobić czytelnikowi, skoro zrobiła to sama autorka książki, nie inaczej prezentując swoich rozmówców. Książki dobre? Dobrej. Potrzebnej? Co do tego mam wątpliwość.

oko- lice sztuki -ki

Tak widzieli Lublin

D NIA 30 września br. otwarto w Bramie Krakowskiej wystawę ikonografii starego Lublina, urządzoną przez Muzeum Okręgowe z własnych zbiorów. Powiedzieć, że jest to ekspozycja interesująca? Ależ tak, mamy bowiem do czynienia z czymś niezwykłym, rzadko u nas spotykanym, bijącym na głowę przeróżne „Metafory” i demonstracje kontekstualnego samobiczowania, choć prace graficzne i malarskie zgromadzone w Bramie Krakowskiej pochodzą sprzed dziesięcioleci i najczęściej autorizowane są przez artystów znanych niegdyś przede wszystkim w Lublinie, nieobecnych w syntetycznych opracowaniach dzieł sztuki polskiej, pozbowionych monografii i tym podobnych dowodów zbiorowego uznania potomnych.

Owszem, są na wystawie świetne autolitografie Wyczółkowskiego z lat 1917—1918, których żywa struktura graficzna ciągle i nieustannie satysfakcjonuje, są ołówkowe rysunki Wojciecha Gersona, jakże inne, lepsze od kostiumowego malarstwa starego mistrza szkoły warszawskiej, który w połowie minionego wieku przedsięwziął wycieczkę rzeczno-piechotną z Warszawy do Puław, Kazimierza i dalej. Na ceglanych kondygnacjach znajdujemy też akwarele i rysunki Stanisława Zalewskiego, którego próbuje przywrócić polskiej sztuce awangardowej Muzeum Okręgowe w Chełmie...

Ale kto dziś pamięta o Władysławie Barwickim, Witoldzie Boguskim czy Janie Gumowskim? Poza pracownikami muzeów, ludźmi badającymi dzieje sztuki w Lublinie i dalekimi krewnymi — nikt. Mimo że dzieła niektórych oglądamy codziennie, jak na przykład Barwickiego fresk figuralny na fasadzie kościoła oo. kapucynów przy Krakowskim Przedmieściu. Uczeń Gersona spoczywa na cmentarzu przy ul. Lipowej, naprzeciwko wielkich drzwi kaplicy, a więc w miejscu dość uczęszczanym. Nie takie jednak lokalizacje wprowadzają dzieła dawne i ludzi do zbiorowej pamięci współczesnych.

Wystawę otwarto z okazji 660-lecia Lublina, akcentując tym samym (choć nie tylko w ten sposób) sprawy związane z historią miasta, ze zmiennością

Jego wizerunków, z trwałością niektórych obiektów. Otwierają ją najstarsze widoki Lublina, a więc miedzioryt kolorowany z dzieła Brauna „Civitas orbis teriarum” (1618), wykonany przez Abrahama Hogenberga i znany dziś dobrze z licznych reprodukcji, oraz miedzioryt Gabriela Bodenehra z ok. 1730 roku. Obie grafiki przedstawiają Lublin w ujęciu panoramicznym i niezłe, jak można sądzić informują o wyglądzie starego miasta.

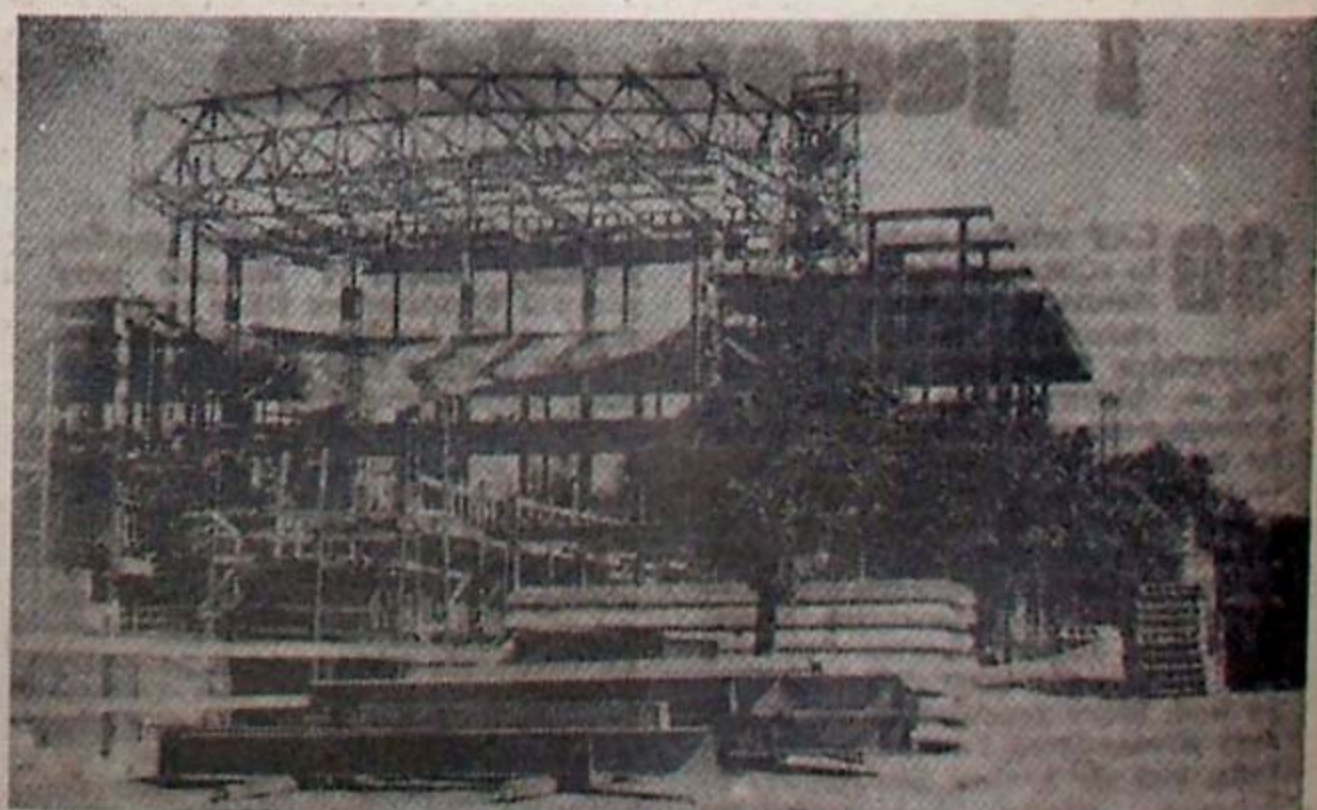
Poszukiwanie wiedzy o dawnym Lublinie przy pomocy eksponowanych prac jest zresztą zajęciem owocnym i ciekawym. Jak wyglądały domy przy ulicach Szewskiej i Krasiwickiej, jak wyglądała stara boznica na Kalinowszczyźnie, jaką była chwalisz się-dworek szlachecki w drugim dziesięcioleciu naszego wieku — o tym wyczerpująco informują np. litografie Jana Gumowskiego (1883—1946), opracowane w 1917 roku i zaopatrzone na marginesach w niewielkie plany obiektów. Ciekawy i jakże inny od dzisiejszego świat Krakowskiego Przedmieścia przedstawia z kolei śnieżny nokturn Witolda Boguskiego z 1929 roku: wysoka dwuramienna lampa zaczyna się nad jezdnią, po której toczy się szeroko rozstawione pudło autobusu, obok widać światła osaklonę werandy, panującej na chodniku przed kawiarnią, która zwie się dziś „Regionalna”...

Dzięki wystawie można też zorientować się, jak przedstawiano ten sam obiekt architektoniczny w różnych okresach historii, jak interpretowali go różni artyści. Konstanty Teleżyński w 1921 roku, Witold Chomiec w 1927 — otaj podchodzili do kościoła oo. bernardynów od strony dzisiejszej ul. Dąbczowskiego, jakby naśladując Wyczółkowskiego, który kilka lat wcześniej ustalił „punkt obserwacyjny” dla artystów interesujących się tą świątynią. Walory dokumentu posiadają poza tym prace Kazimierza Wiszniewskiego (wnętrze kaplicy zamkowej — prawie bez zniszczeń!) i Bronisława Kopczyńskiego. Szkoda, że w tej grupie zabrakło bardziej reprezentatywnych prac Juliusza Kurzątkowskiego, powstałych przed — i po drugiej wojnie światowej, przedstawiających m. in. kapitalne sceny z renowacji Starego Miasta w początku lat pięćdziesiątych.

Historyk Lublina znajdzie więc na wystawie bogaty materiał ikonograficzny. Mój punkt widzenia skłania do innej i trochę chyba zaskakującej uwagi: dzieł ciekawych, która brzmi bardzo prowincjonalnie: — Jak to dobrze ze tendencją abstrakcyjną nie „chwycić” w środowisku lubelskim lat międzywojennych i po roku 1944! Gdyby stało się inaczej, byłibyśmy pozbawieni nie tylko dokumentacji ikonograficznej (wczesnego Lublina, ale również owej miłej zabawy porównywania tego, co było, z tym co jest na naszych ulicach obecnie.

Nade wszystko jednak cenię wystawę za dobitne uzmysłowienie nam, że tacy malarze i graficy lubelscy, jak Barwicki, Boguski czy Kurzątkowski wcale do drugorzędnych artystów nie należeli. Tu się działy ciekawe sprawy, prośbę państwa, tutaj działali wartościowi twórcy. Wartościowi, mimo że z uporem przedstawiali stale te same motywy: Bramę Krakowską, Zamek, niektóre kościoły...

IJK



Teren budowy lubelskiego Teatru Dramatycznego

Fot. M. Stankiewicz

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

● Ze chłopkowie nasz pragną dobrze zachować krwawym trudem uzbierane pieniądze nie w tym dziwnym, sposobie jednak tego zachowania nie są dla nich łatwe zakopać w ziemię i zapomnieć o miejscu w którym skarb ukryty został lub też umrzeć i nie przekazać owoców pracy swojemu spadkobiercy, dla których całe życie pracowało się i męczyło, to wypadek często zdarzający się: ukrycie papierów pod belką lub podłogą również jest ryzykowne w razie pożaru. Włóczęganin z okolic Turubina inaczej postąpił, gdyż sumkę 1000 rubli wynoszącą zachował w spiechlerku, ukrywszy ją w kucpe żyta. Zapomnieć i w tym razie stało się przyczyną nieszczęścia, gdy bowiem zabrakło chleba żyto zagarnięte zostało w worki i wywiezione do młyna, a biedny chłop wówczas dopiero o pieniądzu sobie przypomniał, gdy wraz z młynarzem zauważył, że pod kamieniem młynarskim znalazł się jakiś opór. Było już jednak za późno pieniądze zniszczone zostały, a wraz z nimi wniwecz poszedł kilkunastoletni trud rolnika.

„Gazeta Lubelska”

PRZED 50 LATY

● Ciekawe zjawisko miało ostatnio miejsce na Lubelszczyźnie. Jak wiadomo istnieje prawo nakazujące przyjmowanie do każdej fabryki pewnej ilości inwalidów do cięższych rodzajów robot. We wszystkich okręgach Polski znajdują się inwalidzi bezrobotni, jest ich czasem może więcej niż wynosi zapotrzebowanie. Tylko jeden Lublin jest w tym szczególnym położeniu, że nie posiada inwalidów bezrobotnych. Tak przynajmniej wynika ze stanowiska P.U.P.P. w Lublinie. Urząd ten bowiem na zapotrzebowanie inwalidów do pracy na prowincję odpowiada stale: nie mam takich ludzi! Śmieszny wątpliwy czy tak jest naprawdę. Dziwna historia krzywdy inwalidzkiej, tak obojętnej dla P.U.P.P. w Lublinie, należy natychmiast wyjaśnić.

● Jak wiadomo w Lublinie jest jedna hala, która z braku lepszej musiała zadławić się sportowcy lubelscy w zimie. Okręgowy Związek Lekkoatletyczny, postanowił zorganizować stale treningi gimnastyczne w okresie zimy, w tym celu zaangażował instruktorów i kilka imprez lekkoatletycznych. Nawiązano kontakt z odnosnymi czynnikami, które jeszcze w przededniu obiecały umożliwić pracę związkowi. Mimo zapewnień o przychylności, gdyż to leży w interesie tegoż klubu, wybudowano w środku hali szatnie dla uczestników szlagawki, przez co pogrzebano wszelkie zamierzenia związku. Krzywdę, jaka przez to wyrządzono lekkoatletom lokalnym i w ogóle wszystkim sportowcom, da się powetować tylko przez oddanie całkowicie hali do ich użytku.

„Ziemia Lubelska”

● Czyste skargi i narzekania ludności miejskiej na złą wodę w Lublinie skłoniły nas do zasięgnięcia w tej sprawie informacji fachowych. Rozmawialiśmy z kilku lekarzami chorób wewnętrznych, którzy zgodzili się na jedno; woda w wodociągach miejskich pod względem bakteriologicznym jest bezwzględnie czysta. Stwierdzają to miesięczne badania, czynione przez laboratorium miejskie. Ze składników chemicznych posiada nieco za dużo soli wapniowych, nie wpływa to jednak na rozwój jakiegokolwiek chorób zakaźnych, których też epidemicznie nie spotyka się. Często wypadki tyfusu brzuszkiego również nie pochodzą z wody wodociągowej. Osad powstający na dnach naczyń kuchennych jest tylko tam, gdzie rury są stare i zanieczyszczone. Natomiast gorzej przedstawia się sprawa studzien na peryferiach miasta. Ogólna ich liczba dosięga osiemset. Wszystkie są płytko kopane, nierządno znajdują się w okolicy ścieków.

● Szczególnie upośledzona jest dzielnica Stare Miasto. Na gruntach zanieczyszczonych od stajen, słabo wybrukowanych, a tym samym łatwo przesiakliwych, znajdują się pod względem higienicznym w warunkach oplakanych. Tam też najczęściej spotykają się lekarze z zaburzeniami żołądkowymi, lecz zawsze o charakterze sporadycznym. Wydział Sanitarny Magistratu prowadzi ścisłą ewidencję studzien, przeprowadza badania wody, kontroluje warunki, w jakich się znajdują i o ile takowych nie można poprawić, przeprowadza całkowicie ich zamknięcie. Wiżymy więc, że sytuacja nie przedstawia się tak źle jak sądzą niektórzy.

„Głos Lubelski”

Wybrała: Anna
Orzechowska

POLSKA WE FRANCJI

PAMIĄTKI POD PIRENEJAMI

Anna Gizowa

SWEGO czasu prasa polska i francuska podały wiadomość, że władze francuskie powzięły decyzję wzniesienia w Paryżu pomnika ku czci polsko-francuskiego braterstwa broni. Pierwszy byłby to pomnik, ale tradycje i dowody braterstwa dawne. Dzieje Polski i Francji od wieków spletały się przedziwnie, aby w wieku XIX związać się nierozdzielnie (kampania napoleońska, emigracja polska we Francji po upadku Powstania Listopadowego, udział Polaków w Komunie Paryskiej — że wspomnę tylko o najważniejszych historycznych powiązaniach). Nigdy na przestrzeni dziejów Polska i Francja nie znajdowały się we wrogich sobie obozach wojskowych czy układach politycznych. Nie bierzemy pod uwagę tych tragicznych, wyjątkowych momentów, kiedy część Polaków, wbrew woli, siłą wcielona do armii zaborczych, musiała skrzyżować broń z Francuzami pod Sedanem czy pod Verdunem.

Wiek XX umocnił te przyjacielskie, odwieczne więzy i przypieczętował je nowymi dowodami braterstwa broni w krwawych zmaganiach ze wspólnym wrogiem w okresie I-ej i II-ej wojny światowej.

Sądzę, że na terenie Francji jest wiele pamiątek tej wspólnej żołnierskiej doli; pragnę wspomnieć o tych dwóch tylko, na które sama natrafiłam w czasie mego miesięcznego pobytu pod Pirenejami, z okazji wakacyjnego kursu językowego w Pau (Département Pirenejów Atlantyckich).

W Bayonne, zabytkowym i malowniczym mieście leżącym nad rzeką Adour, 45 km od jej ujścia do Oceanu Atlantyckiego, odnalazłam piękny i okazały Pomnik Poległych w latach I-ej wojny światowej. Na jednej z sześciu tablic wmurowanych w cokół rozległego pomnika, pod wizerunkiem polskiego orła widnieje napis: „Aux volontaires polonais instruits à Bayonne en 1914 qui ont lutté pour le salut de la France et la liberté de leur patrie — les Français reconnaissants” („Ochotnikom polskim szkolonym w Bayonne w 1914 roku, którzy walczyli o ocalenie Francji i wolność ich własnej ojczyzny — wdzięczni Francuzi”).

Warto w kilku zdaniach przypomnieć historię nieszczęsnych ochotników z Bayonne, tzw. „bajonczyków”, którym nigdy nie było danym dotrzeć do Polski ze szczytem oręża, jak zresztą i wielu innym formacjom powstałym w czasie I wojny światowej poza Polską, a utworzonym z Polaków, wierzących głęboko, że z wojny tej musi się zrodzić nowy, lepszy dla Polski okres jej dziejów.

Z chwilą wybuchu wojny, już w sierpniu 1914 r., Polacy przebywający we Francji setkami wstępują ochotniczo do wojska francuskiego. Ochotników wcielano, w myśl przepisów, do 18-gi Cudzoziemskiej, gdzie tworzyli osobne formacje. Jedną z tych formacji 2 kompania 1 pułku cudzoziemskiego. Licząca ok. 300 Polaków, została skierowana 22 sierpnia 1914 do Bayonne, celem odbycia przyspieszonego przeszkolenia bojowego. „Bajonczyki” umundurowani w czerwone spodnie i taką czapkę granatową bluzę i niebieski płaszcz, przechodzili francuskie szkolenie rekrutkie. Już 22 października 1914 wyruszają na front. Mijają miesiące ciężkich zmagañ z wrogiem, szeregi polskiej kompanii topnieją. 3 maja 1915, w czasie francuskiego natarcia w bitwie pod Arras, w ataku w czasie którego zajęto trzy linie okopów niemieckich, kompania bajonczyków została prawie zupełnie rozbita. Zginęli wówczas wszyscy jej oficerowie wraz z dowódcą,

mjr Omond, a z kompanii zostało zaledwie 56 ludzi. Los tej bohaterkiej resztki dokonał się w ataku na niemieckie okopy pod Lorette, w czerwcu 1915; kompania „bajonczyków” przestała istnieć. Pamięć o nich nie zginęła jednakże, czego dowodem jest nie tylko sam opisany pomnik, lecz również wspomniane ćwiczenia, które wzięli udział w nich jako uczestnicy w jego stop.

Następny, w tym regionie żywy i wzruszający ślad pobytu Polaków to kapliczka ludowa w Idron, 7 km na wschód od Pau. W latach 1939—1941 w obozie w Idron (znajdującym się w nie okupowanej jeszcze na razie strefie Francji, tzw. „strefie non-non”) przebywało ok. 750 polskich żołnierzy i oficerów, rozbitków tragicznych wrześniowych dni, którzy różnymi drogami przedostali się do sprzymierzonego kraju, szukając możliwości dalszej walki zbrojnej ze wspólnym wrogiem. Dzieje wielu z nich, przed przybyciem do Idron, i po jego opuszczeniu, mogłyby stanowić kanwę sensacyjnego filmu. Idron służyło schronieniem polskim żołnierzom do czasu rozszerzenia się okupacji niemieckiej na całą Francję. W obliczu tego niebezpieczeństwa zaczęli oni różnymi drogami, nielegalnie, przedzierać się do Anglii, wspomagani w swych nieraz rozpaczliwych i heroicznych wysiłkach przez ludność miejscową. Część z nich przedarła się przez Pireneje, część przekradła się z wybrzeża pobliskiego Oceanu (najczęściej łodziami i barkami rybackimi), wielu z nich włączyło się do francuskiego Ruchu Oporu. Znaczna liczba wpadła w ręce gestapo, pewna liczba zaś spoczywa na cmentarzu w Pau. Nie udało mi się odnaleźć ich grobów.

Nastroje żołnierzy przebywających w Idron nie były najlepsze; tęsknota do rodzin i niepokój o ich losy, przynajmniej bezczynność wśród toczącej się wojny, choć walki, przyspieszenie z powodu klęski Francji, w końcu niepewność jutra. Należy podkreślić, że choć reżim w Wiedniu skazał polskich tułaczy na internowanie — ludność miejscowa nie uznawała tego wyroku; pomagano Polakom w ucieczkach, goszczono w rodzinach francuskich, dozywiano i wspólnie układano plany walki o wolność obu narodów.

W takich to okolicznościach zrodziła się myśl wzniesienia w pobliżu obozu kapliczki jakby żywcem przeniesionej z polskich rozstajnych dróg a mającej służyć pokrzepieniu serc ludzi oderwanych od swego kraju. Ówczesny komendant obozu, mjr Alfred Pragier (zmarł później w Londynie) zaakceptował pomysł i żołnierze różno wzięli się do roboty. Projektantem całości i wykonawcą mozaiki był prof. Jan Sarnicki, wówczas ppor. rezerwy (do Francji przekradł się z Węgier przez Jugosławię i Włochy; następnie, przechodząc po raz drugi Pireneje, wpadł w ręce gestapo, zesłany następnie do Buchenwaldu gdzie doczekał końca wojny).

W sierpniu 1941 r. kapliczka stanęła gotowa. Pod daszkiem z pirenejskiego łupku — wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej wykonany techniką mozaiki z miejscowych kolorowych kamyczków; na cokole — orzeł polski, również z mozaiki. Kapliczka jest piękna, bardzo polska i tylko bujne zarośla magnoliowe, które stanowią jej tło, nacośnie świadczą o jej swoistej ekspatriacji.

Należy dodać że jedną z inicjatorek wzniesienia tego osobliwego pomnika była p. Hessa Bailly, zasłużona tłumaczka literatury polskiej i poetka, wielka sympatyczka Polaków i opiekunka żołnierzy z obozu w Idron. Była członkiem francuskiego Ruchu Oporu i uratowała życie wielu Polakom.

Opustoszał polski obóz w Idron, żołnierze rozprzeczli się po długich jeszcze i trudnych wojennych szlakach, którzy nie wszystkich przywiodły do ojczyzny. Obecnie w byłym obozie polskim stacjonuje jednostka francuskich wojsk spadochronowych, której żołnierze samorzutnie podjęli się utrzymania porządku wokół kapliczki wzniesionej przez swych polskich towarzyszy broni z lat wojny. Nie zapomina o niej również dość liczna i dobrze zorganizowana w tym regionie Francji kolonia polska; świeże kwiaty nie pozwalają zapomnieć o losie polskich żołnierzy na wojennej tułaczce.

PAN PORĘBA

Jacek Głazewski

NA Rue Meslay, bezpośrednio z ulicy, przez szerokie okno wystawowe widać pomieszczenie wielkości średniego sklepu, w którym przy maszynach drukarskich krzątają się ludzie, na niskim parapecie okna leżą sterty papieru, czyste i zadrukowane.

Idąc do hotelu przy tej samej ulicy w Paryżu, kilkakrotnie przechodziłem obok odległej o kilka domów drukarni. Dopiero gdy ktoś powiedział mi, że jest to polska drukarnia pana Poręby, odwiedziłem jej właściciela.

Jesienne popołudnie, słońce odbija się od okien przeciwnej strony ulicy, zapach farby drukarskiej, miękkie, rytmiczne postukiwanie maszyny drukującej żółte afisze. Pan Poręba — starszy mężczyzna, siwowłosy, krępy w granatowym kombinezonie poplamionym farbą — jest w tej chwili sam. Nie dziwi się wcale, gdy wchodzi i mówię po polsku „dzień dobry”. Rozmawia ze mną oglądając jednocześnie maszyny.

— Widzi pan, jestem tu szefem, właścicielem przedsiębiorstwa i jednocześnie robotnikiem, więc muszę pracować więcej niż każdy z zatrudnionych u mnie pracowników. Zna pan, prowadzi mi księgowość, jeden z synów pracuje jako zecer-linotypista, drugi też chyba przyjdzie do mnie, poza tym zatrudniam jeszcze ośmiu pracowników. Mam dwa linotypy, teraz sprowadziłem nowoczesne maszyny offsetowe, powiększam laboratorium chemigraficzne i zecerani. Trzeba iść do przodu.

Pan Poręba drukuje wszystko, od wizytówek do książek i gazet. W jego drukarni powstaje kilka miesięczników francuskich, jak chociażby „Securite Routiere”, który jest wydawany przez L'Association Nationale de la Securite Routiere. Polskich wydawnictw ma coraz mniej; czasem jakiś druk dla misji katolickiej lub katalogi dla banku „Pekao”. Przedtem z jego drukarni wychodził biuletyn Francuskiej Partii Komunistycznej w języku polskim — periodyki francuskiego towarzystwa Odra-Nysa (do czasu zawarcia ostatecznych układów między RFN a PRL w sprawie naszych granic zachodnich, kiedy to prowadziło aktywnie swoją działalność).

Pan Poręba lub Poręba — jak pisze się po francusku — z sentymentem wspomina czasy, kiedy zecerzy prawie codziennie układali czcionki drukarskie w polskie słowa. Część dawnej emigracji, która mówiła i czytała przeważ-

nie w języku polskim, już nie jest aktywna; to przeważnie emeryci. Ich dzieci i wnuki zaakceptowały język swojej drugiej ojczyzny, zresztą polskie książki i gazety drukowane w kraju można dostać w Paryżu lub zaprenumerować bez trudności.

Historia drukarni pana Poręby to także część historii i przemian francuskiej Polonii. Oblicza się, że w tym kraju żyje około trzy czwarte miliona Polaków, którzy prawie całkowicie się zasymilowali i bardziej właściwe jest mówienie o Francuzach polskiego pochodzenia, gdyż jest to już drugie i trzecie pokolenie, a nawet czwarte wywodzące się przeważnie z emigracji zarobkowej.

Tradycyjne rozumienie Polonii francuskiej jest nieadekwatne. Nie ma tam już enklaw czy gett polskich, jakie spotyka się w Anglii lub Stanach Zjednoczonych. W północnych departamentach Francji, gdzie kończyły się emigracyjne szlaki i powstawały duże skupiska Polaków, od pewnego czasu obserwuje się bardzo ciekawe zjawisko — wzajemne przenikanie kultury i języka, mieszane małżeństwa, w których mówi się przeważnie obydwoma językami, gdzie istnieje bardzo żywe zainteresowanie tym wszystkim, co polskie i co w Polsce się dzieje — przy jednoczesnym aktywnym włączaniu się w życie gospodarcze, polityczne i społeczne nowej ojczyzny.

Wzajemne związki i oddziaływanie Polski i Francji datują się od stuleci i nadal są żywe. Dokonując retrospekcji ostatnich kilkunastu lat można stwierdzić, że tacy autorzy jak Mrozek, Borowczyk, Lenica, Cieslewicz czy Joanna Brudzińska lub Krzysztof Łukasiewicz, nie wspominając już o Gombrowiczu i Andrzejewskim, są znani, tłumaczeni, wydawani, ogląda się ich filmy, wystawy plastyczne, słucha muzyki, chodzi na leki spektakle. Ten wkład w kulturę artystyczną Francji, która staje się coraz bardziej kosmopolityczna, a przez to jednocześnie coraz bardziej francuska — pozorny paradoks — jest zauważalny. Paryż to nie tylko Francuzi. Na to wszystko, co jest artystycznym Paryżem nakładają się walki i osnowy z wielu krajów. Dostrzeżem to nagle w sposób bardzo jaskrawy na Place du Tertre na Montmartre, gdzie ustawili obok siebie sztalugi i kładli farby na płótno — każdy w swoim duchu i swojej manierze — Francuz, Polak, Japończyk i Amerykanin.

Pan Poręba pogodził się już z tym, że drukuje po francusku, a do syna mówi po polsku; jest to dla niego stan normalny. Cieszy się nadzieją, że może znowu „Pekao” zamówi u niego katalog, który będzie składał sam, bo to i sentyment i odpowiedzialność za drukowane po polsku słowa. Jest pewny, że technicznie wyjdzie nawet lepiej, niż poprzedni.

— No, proszę pana, sprowadziłem właśnie najnowszy maszynę z Republiki Federalnej Niemiec, oni sobie najlepsze maszyny drukarskie i niech pan znowu wpadnie, to pogadamy, co tam nowego w kraju.

KULTURA 1977

FILM I TV

● Po „Początku od...” Monografia Wielkiej Budowy” nasza telewizja przedstawiła godzinne filmy o baskijskiej republikańskiej Rzeczypospolitej. Razem tych odcinków będzie 15. Autorem koncepcji całego cyklu są Eugeniusz K. Kowalski i Mariusz Walter, pomocą polskim twórcom — metyoryczną, techniczną i organizacyjną — służyła telewizja radziecka.

● W całym kraju odbywają się Dni filmu Radzieckiego. W ich ramach rozpowszechnia się 11 premierowych pozycji w 200 kopiach. Różne imprezy związane z Danim odbędą się w 9000 miejscowości. Już poprzednio pokazano na naszych ekranach 35-nowy utwór kinematografii radzieckiej. Kownicz w listopadzie odbędzie się przegląd filmów zrealizowanych z udziałem Sergiusza Bondarczuka, który z tej okazji przyjedzie do Polski.

● Reżyser Zbigniew Chmielewski, twórca serialu „Dyrektorzy” i „Daleko od zimy”, przystąpił do realizacji nowego serialu pt. „Wielka Huta”. Będzie to sześć

odcinków, które od strony psychologicznej pokażą ludzi i ich problemy na wielkiej budowie. Całość będzie gotowa w połowie przyszłego roku. Autorem scenariusza jest Andrzej Szypulski, który opierał się na zbiorze nowel Alberta Szeffera. Wśród autorów zobaczymy ponownie m. in. Sławomira Lorenskiego i Krzysztofa Stronńskiego. Reżyser powiedział, że adresem będą świadomie niedobre, jakby hakrońce przez kronikarza. Jak to da efekt — zobaczymy za rok.

LITERATURA

● Związek Literatów Polskich liczy obecnie 1387 członków, w tym 70 przyjętych w czasie obecnej kadencji. Najbliższy zjazd sprawozdawczo-wyborczy delegatów (będzie ich 127) odbędzie się w Katowicach w dniach 7 i 8 kwietnia przyszłego roku. W związku ze zmianą podziału administracyjnego w kraju powstał nowy oddział ZLP w Toruniu, są szanse na utworzenie kilku następnych.

● Wilhelm Szewczyk, poeta, prozaik, publicysta i tłumacz, a

także redaktor naczelny dwutygodnika „Poglądy”, ostatnio swoją książkę na temat górniczego publikował w 1977 roku („Moja trawła napomnięta”). Jak wyznał ostatnio, ma zamiar napisać następną na ten temat — o górnikach i młodych inżynierach, synach górników. Pracują oni w zupełnie innych warunkach niż ich ojcowie, ale pozostał w nich hart moralny połączony z żołnierską wprost obywatelstwem, bez czego trudno sobie wyobrazić solidną i wydatną pracę.

● W Hawanie powstał Instytut Badań Literackich im. Jose Martíego, a jego dyrektorem jest Hubert Fernandez Retamar, krytyk literacki i redaktor naczelny miesięcznika literacko-politycznego „Casa de las Americas”. Najważniejszym zadaniem Instytutu na najbliższy okres jest pełne wydanie dzieł Jose Martíego. Martí był największym pisarzem Ameryki Łacińskiej, zginął w 1895 roku w walce z Hiszpaniami. Był twórcą pierwszej rewolucyjnej partii politycznej na kontynencie amerykańskim.

OPINIE

● Zatrzymajmy się (...) na pracy. Po prostu na pracy. Z niej wszystko wynika i od niej wszystko zależy. Jeśli w zakładzie pracy, albo wyżej w jednostkach zarządzających, albo nawet jeszcze wyżej ludzie nie pracują tak, jak powinni, nie przejmują się tym, co co robią, to wszystko, co się z efektem tej pracy wiąże, zalatuje się. Najpierw na jednym, niewielkim odcinku, by rozszerzyć się na

całe obszary (...). Złóż się osoba ze nie poddajemy żadnej analizie tego, co powinniśmy wykonać w ciągu 3 godzin pracy. Pojście dyscypliny też nie wydaje nikomuym zdawalowemu, niby funkcjonuje nawet w obłędnej opłocie, ale jakże mało ludzi się z tym pojęciem boryka”. (Prof. dr Jan Janicki — „Nadzieja” nr 27).

● „Płonica Swidnicka” we Wrocławiu, młodzieżowy klub znany w całej Polsce, z powodu nierozumnej decyzji prezesa i innych, lokalnie upatrzyli sobie budynek WPPG Spółem, ściśle — jego pion gastronomiczny, tak zabiegając w urzędach, aż to skruszały i odstąpiły pomieszczenie, nie bardzo nawet zwracając uwagę na fakt nie bez znaczenia — iż „Płonica” mieści się w budynku zabytkowym klasy O i konserwator zabytków jest wyraźnie przeciwny. Coż jednak to za argumenty, kiedy można robić szmal na wodzie, strip-teasie i szyćciu po wiedeńsku? (WP — „Razem” nr 46).

● Menażerowie (...) w wypadku Niemca czy Borysa upierali się przy konieczności robienia im reklamy jako „papieżom słowiańskiego undergroundu”. Również Violetta Villas podczas swych występów w Las Vegas była przez tamtejszych speców od showbiznesu modelowana na słowiańskiego wampa, lecz pryncypalnie nie usiłowała nikomu wmuświć, że jest na przykład kałpanką ruchu Woman Lib. Także kreowanie Michała Burano (vel Johna Mike'a Arliowa) na cygańskiego księcia uznać można za dość niewinną aberrację zawodowa hollywoodzkiego agentów reklamowych”. (Zagmunt Kiszakiewicz — „Panorama” nr 43).

Z WYWIADÓW

● „Partowa przeczyna pewna” (moja polską przeczyną była „Janka”), potem wpadły mi do ręki wiersze Tuwima. Działo to w Krakowie, gdzie w końcu postanowiłem wrócić do Polski i poznać to, co się tam dzieje. Wniosek o wizę wyłożyłem w Krakowie, w Warszawie potem pojechałem do Polki i poznałem to, co się tam dzieje. Wniosek o wizę wyłożyłem w Krakowie, w Warszawie potem pojechałem do Polki i poznałem to, co się tam dzieje. Wniosek o wizę wyłożyłem w Krakowie, w Warszawie potem pojechałem do Polki i poznałem to, co się tam dzieje.

● „Sprawy polskie, a szczególnie muzyka, są mi zawsze bliższe. Staram się grać tam polskiej muzyki i śpiewać, i grać, to zdobywa ona większe uznanie (...). Polska mała duma w stolicy. Meksyku stał do przepiękny student, który przyjechał do mnie z wiatru krajów, stanowiącoby zbyt rzadko w Polsce. Nie tylko uczyć moich młodych przyjeźdźców, staram się też być promotorem ich startu”. (Henryk Szary).

● Muzyka jest językiem wszystkich ludzi. Każdy, bez względu na miejsce urodzenia i język, którym się posługuje, rozumie ją i odwołuje się do niej. Muzyka przed laty i teraz ma jeden i ten sam rdzeń — wychodzi z ludu i adresuje ją do ludu. Neruda pisał o wolności, moja muzyka też mówi o wolności człowieka do wolności (...). Nie maże istnieć sztuka wyrwana z kontekstu czasów, w których żyjemy. I wcale nie uważam się za polityka. Sędzę, że uczciwość nakazuje mówienie tego, co się naprawdę myśli. Moja muzyka jest taka jak moje myślenie”. (Mikis Theodorakis).

akran i widz

„Lenin karty z życiorysu”

PRAWIE całą niedzielę, 30 października, wypełnił w II programie telewizyjnym blok radzieckich filmów o tematyce rewolucyjnej, przygotowany w związku z obchodami 60 rocznicy Rewolucji Październikowej. Rozpoczął się „Człowiekiem z karabinem” zrealizowanym w 1938 r. przez Siergieja Jutkiewicza, a zakończył debiutanckim filmem jednego z najciekawszych młodych współczesnych reżyserów radzieckich, Nikity Michalkowa — „Swój wśród obcych — obcy wśród swoich”, będącym jakby preludem do następnego dzieła tego twórcy: „Niewolnica miłości” i „Niedokończony utwór na pianole”.

„Człowiek z karabinem”, oparta na sztuce, Pogodina opiewającej filmowa o przemianach, jakie zachodziły w rosyjskich chłopach-żołnierzach podczas gotacyj dni rewolucji (doskonale zagrana przez Borisa Tienina rolą „człowieka z karabinem”, Iwana Szadrina), to zarazem jeden z pierwszych dwiekowych filmów

fabularnych o Leninie. Kreujący postać wodza rewolucji Maksim Sztrauch nie dorównał wprowadzić sylwetce Lenina stworzonej rok wcześniej przez znakomitego aktora Teatru im. Wachtangowa, Borisa Szczukina, w „Lenin w Październiku” Michaiła Romma. Ale i on potrafił ukazać Lenina w sposób głęboki, zwyczajny i ludzki. Sceny rozmowy Iwana Szadrina z przywódcą partii bolszewików na korytarzach Instytutu Smoleńskiego przeszły do historii kina. Nawiasem mówiąc, Szczukin grał Lenina w sztuce Pogodina i nadal tę rolę powtórzył w filmowej wersji Jutkiewicza, ale ostatecznie dał się „skaptować” Rommowi. Warto przypomnieć, że wprowadzony w 1947 r. na polskie ekrany „Człowiek z karabinem”, sędził w Lublinie w kinie „Bałtyk” (obecnie — „Robotnik”), oraz że w 1963 r. lubelski teatr dramatyczny wystawił skróconą wersję sztuki Nikołaja Pogodina w adaptacji i inscenizacji Marii Bechcezy-Rudnickiej i w reżyserii Zofii Modrzyńskiej.

Głównym akcentem bloku filmów rewolucyjnych była projekcja filmu dokumentalnego S. Pumpianskiego — „Lenin — karty z życiorysu”. Pokazano tu szereg zdjęć i materiałów dotyczących Lenina i rodziny Ujjanowych od lat najmłodszych aż do dnia śmierci wodza Rewolucji Październikowej w styczniu 1924 r. Najbardziej interesującą stroną filmu są doskonale dobrane fragmenty ówczesnych kronik, sceny z życia Lenina zanotowane przez pierwszych reporterów — dokumentalistów na tśmie filmowej. Tam, gdzie brakowało zdjęć autentycznych, Pumpianski dokomponował ujęcia z filmów fabularnych: z „Pancernika Potiomkina” i „Października” Eisenstei-

na, „Człowiek z karabinem” Jutkiewicza, „Lenin w Październiku” i „Lenin w 1918 r.” Romma. Półtoragodzinny, „biograficzny” film tętni dynamizmem rewolucji.

Człowiek z karabinem — Iwan Szadrin, usiłując w rozmowie z innymi żołnierzami scharakteryzować Lenina, mówi: „on jest nasz...”. To znaczy m.in. także: ludzki, zwyczajny, bezpośredni... Te cechy osobowości Lenina podkreślał zawsze w swoich wspomnieniach Gorki, a starał się je wyłobyc na ekranie zarówno Sztrauch jak i Szczukin. Taki też właśnie jawi się Lenin z krótkich, oszczędnych (bo brakowało taśmy filmowej) ujęć pierwszych operatorów rewolucyjnej kroniki. Kiedy przysiadła, zmęczony, na burcie ciężarówki służącej mu za mównicę. Kiedy wita się z ludźmi. Podczas przechadzki z Boncz-Brucwiczem po kremlińskim dziedzińcu, lub wówczas, gdy na obradach III Kongresu Kominternu w Moskwie w 1921 r. on — sprawa „dni, które wstrząsnęły światem” — odpoczywa na stopniach szjardowej trybuny, pospiesznie robiąc notatki.

Chyba gdzieś między tymi skrawkami filmowych zapisków mignęło mi również historyczne ujęcie Lenina w byłym pałacyku Krzesińskiej przejętym przez Piotrogrodski Komitet Partii Bolszewickiej, wykonane przez polskiego operatora, Jana Skarbka-Malczewskiego pod koniec maja 1917 r. Przez wiele lat było ono uważane za pierwsze zachowane filmowe zdjęcie Lenina. Dopiero w 1967 r. reżyser-dokumentalista S. Gurów odnalazł w archiwach fragmenty taśmy filmowej z nakręconymi 1 maja 1917 r. przez Aleksandra G. Lemberga zdjęciami tłumy robotników na Polu Marsowym w Piotro-

gradzie. Okazało się, że widoczny na dalekim planie człowiek przemawiający z platformy ciężarówki to — w medialnej przyszłości — główny bohater Rewolucji Październikowej. To ujęcie także znalazło się w filmie S. Pumpiankiego.

W „Lenin — karty z życiorysu” jest wiele zdjęć Lenina wykonanych przez innego operatora, Polaka — Piotra Nowickiego, który bardzo często filmował Lenina. Jeżeli zaś potwierdziłoby się przypuszczenie A. M. Gaka, że już w 1897 r. Lenin oglądał w Kranojarsku projekcje kinematograficzne ukazujące m.in. „reportaż” z koronacji Mikołaja II nakręcony przez warszawiaka Bolesława Matuszewskiego, to znaczyłoby to, że polscy operatorzy filmowi towarzyszyli Leninowi od jego wczesnych lat młodości aż do końca życia.

Znane jest zainteresowanie Lenina filmem, fakt doceniania przez niego roli filmu, jego możliwości propagandowych i wychowawczych; często powtarza się jego słowa wypowiedziane w lutym 1922 r. do Ludowego Komisarza Oświaty, Anatola W. Lunaczarskiego: „[...] powinieneś dobrze zapamiętać, że ze wszystkich sztuk najważniejszą jest dla nas film”. Ale mniej znany jest fakt, że do ostatnich chwil życia, także podczas choroby, Lenin stał oglądał filmy wyprodukowane specjalnie dla niego z „Siewzapki” i „Goskina”. Szczególnie interesował się „dokumentem”. Zachował się zapis dotyczący tych ostatnich seansów. Były to filmy: „Czerwony front”, „Konferencja Genueńska”, „Targi w Lyonie”, „Srebrny Robotniczy Lotnictwa”, „Szóstka rocznica Października”...

(md)

noty i notki

W SAM-ie spożyjemy w Lublinie przy ul. Lipowej (ostatnio przez „Kurier Lubelski” nazywanym „Delikatesami”) kupiłem paczkę knedli z owocami. Zrodni z zaciętością przepisem gotowałem 10 minut, po czym niezgodnie z zaleceną metką przekonałem się, że na talerzu miałem jeden knedel z owocami, jeden pieróg z mięsem i siedem pierogów z serem. Zatelefonowałem więc do sklepu proponując pani odbierającej telefon przyjazd do talerza na moją koszt. Ale propozycja została odrzucona z niechęcią. Ja natomiast z równym niechęcią byłem amuszony zjedzeniem owego pieroga z serem, których bardzo nie lubię. Ale byłem głodny i nie miałem innego wyjścia.

Mamy już w kraju różne „nalia”, ostatnio przybył nam — jak doniosło „Id” (nr 41) — żwirkonalia. Ma to być wesole, przepiękne występy kabaretów i zespołów rozrywkowych święto studentów Uniwersytetu Warszawskiego, zamieszkałych w akademiku przy ul. Żwirki i Wigury. Pomijając językowe dziwactwo jestem zdania, że urządzanie tego rodzaju zabaw z wykorzystaniem nazwisk znakomych, a szczególnie zmarłych lotników, jest obrazą ich celi. Jak tak dalej pójdzie, będziemy mieli w Lublinie Langiewiczonalia lub Skłodowkonalia, a w dworku na Sławinku Kościuszkonalia.

A więc nasi piłkarze pojadą do Argentyny. Człowiekiem, który w rzeczywistości podpisał im paszport, był Kazimierz Deyna; jego wspaniały strzał z roku na pierwszy dał nam prowadzenie, a potem remis równy wygranej. Przynajmniej za to trzeba obywatelnie, że na boisku grali lepiej Portugalczycy, ale nie mieli szczęścia.

Rozumiem, że „Tygodnik RTV” jest m. in. od tego, aby chwalił proponowane programy, ale chyba w granicach zdrowego

rozsadku. Tymczasem na to, aby „Skiza” Zapolskiej nazwać „najdowodniejszym utworem pisarki” i to takim, który „nie a nie się nie zestarzał”, trzeba mieć bardzo dużo odwagi i bardzo mało umiejętności obiektywnej oceny. Wystarczy chociażby skonstatować, że dzisiaj twierdzenie, iż jedyną partnerką życia mężczyzny może być tylko własna żona (taki jest sens sztuki) jest na tyle wzniołe, na ile nieprawdziwe. I przed sędzią i po sędzi.

W ciągu ostatnich 50 lat nie było pisma w Polsce, które nie poświęciłoby mniej lub więcej miejsca awanturnikom i kontrrewolucjonistom baronowi Ungerowi. Wydano na ten temat kilkanaście książek, które też nie przyniosły nic nowego, w każdym razie jeżeli chodzi o rzekome skarby, ukryte gdzieś w Acji przez barona.

Trudno więc zrozumieć, dlaczego Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydała jeszcze jedną książkę (Witolda St. Michalowskiego) na ten mocno wyśnuty i debilny temat. Nie ma w tej książce ani jednego nieznanego dotąd istotnego faktu, w żadnym stopniu nie została wyjaśniona rzekoma tajemnica rzekomego skarbu. Czyżby LSW cierpiała na nadmiar papieru?

Lubelskie Biuro Wystaw Artystycznych na organizowane przez siebie wystawy wysyła przed laty 150 limitnych zaproszeń. Z tego osiem zaproszeń trafia do naszej redakcji, budząc niekiedy podziw nad zasobnością kasy BWA — osiem kopert, osiem opłat pocztowych, osiem kopert do zapakowania i zaadresowania przez chyba nudzących się pracowników BWA.

Wywiady udzielane przez piosenkarzy czy kompozytorów muzyki rozrywkowej powinny m. in. zawierać pewną dozę kokieteryi wobec tych, którzy te wywiady będą czytać. Pamiętał o tym Jarosław Kukulski, kompozytor m. in. „Tyle stonca w całym mieście”. Zapytany mianowicie („Fakty 77” nr 44), czy jest swolennikiem pisania piosenek dla jednego wykonawcy, odpowiedział: „Niezupatnie Oczywiście najchętniej i najczęściej komponuję dla Anny Jantar”. I słusznie, piosenkarzka to bowiem jest jego żona.

JOD

Nowy polski telewizor kolorowy ma się nazywać, jak pisał „Półroczyca”, „Paw”. Już sobie wyobraziłam żary w rodzaju: „Rio znowu puseł pusa?” czy, inaczej mówiąc, wżyczył telewizor.

Memento mori - pecunia non olet

N I E chciałbym umrzeć w Lublinie, nie mówiąc już o tym, że w ogóle życie mi się raczej odpycha. Ponadto świadomość kłopotów, jakich przysporzylibym swoim bliskim i przyjaciółom, odstrasza mnie od śmierci w tym skądinąd sympatycznym mieście.

Amok rozpoczą się kilka dni przed Świętem Zmarłych. Ogarnia on różnego autoramentu cuanaczek, przyzwyczajonych do utrzymywania się z ludzkich przysługujących, nęcących, obciążających powinności. Fakt, że wszystkie odbywa się w zgodzie z przepisami prawnymi, jeszcze o niczym nie świadczy. Ludzie dotąd żyją, dopóki żyje w nich pamięć o tych, którzy od nich odezłi, którzy w jakiś sposób za życia na pamięć zasłużyli. I to jest piękne.

Nie da się ukryć, że jesteśmy narodem cywilizowanym, szedowliliśmy więc pełne uprzedzenia do kulturywania pamięci na handel, przedsiębiorstwa pogrzebowe, zieleni miejskiej etc. Trudno przeczyć, abymy sami hodowali kwiaty, chodźli do lasu po zielone galezje, czy też wystąpiali ze świec nagrobno znioze. Ale tu się zaczyna problem, który urosł przez lata do rangi obyczajowej, obrósł w tradycję, stał się pretekstem dla pewnej grupy ludzi do robienia ordynarnego interesu, do zbierania niemających pieniędzy na swoją pamięć.

Metoda jest prosta. Bierze się stosowienia z nadświetlenia najbliższej wiosny, płaci się za metr sześcienny galezi 7 zł, następuje chłopa za opłata 3 złotych od galezi obcinają nocą jodły lub świerki, nadświetlono już nie sprawozda, czy są to galezje z terenu wojewo i hajda „Zukiem” do miasta. Na targowisku

za gależ zieloną płaci się od 30 do 35 złotych na metr galezi przepałta około 250 sztuk, przewidzianie samochodem plus minus pięciu metrów sześć, kasznie do Krańnika czy Modliborzyc powiadzmy tu siac złotych. W rezultacie zarobek w ciągu trzech dni wynosi 30 tysięcy złotych. Handlujących galeziami naliczyłem na 8 bu targowiskach około 20. Komentarze zbyteczne.

Nie mówię już o sztucznych kwatach, uciannazkach z galezi, chryzantemach. Przyzyczaitymy się do istnienia ludzi zbyt lafco zarabiających pieniądze, którzy żyją sobie jak u Pana Boga za piecem, aby do pierwszego listopada, 1984. Hożego Narodzenia, czy też innych okazyj, jakich naszej obywatelności nie brakuje. Budej też odmienne tolerancja kuje. Budej też odmienne tolerancja kuje. Budej też odmienne tolerancja kuje.

WIOR

PS. Dyrektor Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Lublinie zastępca ma samochód — nie może oberwać. Natomiast jest mój spóźniony i błąka w kilku godzinach marzenia w taksówku dnia Święta Zmarłych w autobusie limit 3 zł, którym wyjechał do cmentarza. Jest choć trochę moich złotych pod adresem dyrektora w „Fakcie” tej janki 24. sprawą parapsychologii dostarła do mojego to nie chciałbym być ani przez minutę w jego skorze, a nie są to jedyny sprawy w tym roku, stanowiący Panie Dyrektorze MPK!

POCZTA LITERACKA

Szyfrogram (nr 23)

W. N. Lublin. Są dwa rodzaje pesymizmu. Jeden jest niezadowolaniem z jakiegos stanu rzeczy i chęcią jego zmiany. To pesymizm twórczy. Wynika z krytycyzmu, prowadzi do działania. Drugi to postawa przygnębienia opuszczonych postaw przygnębionych. Prowadzi do przekonania o daremności wszelkiego działania. Takim pesymistą będąc, nie można być poetą. Działanie, że młody człowiek nie postawia pytań, Ba, dodaje do niej całą gamę obelg pod własnym adresem. Wytworzyła się jakaś maniera. Wnika z niej, że im więcej autor odmówi sobie aktywności, przydatności, sensu, im bardziej przetrwa się do zera, szarego prochu, nieczego tym szerzej się wypowie, na tym większe zasłuży zaufanie. Nie zadzierając głowy — zgoda, ale to hipokryzja jest w gruncie rzeczy chwytem epatującym i jako taki się w końcu zdyskwalifikuje. To tylko poszukiwanie nowego tematu dla „oryginalności”. Proponuję się trochę różnić od jesiennych muchy bykającej z wysiłkiem na szybie.

A. S. Sandomierz. Wspomniałem już o charakterze tej rubryki. Nie ma ona na celu dokonywać młodym autorom, ani zmniejszać ich do pisania, aczkolwiek na brak tekstów redakcja narzekać nie może raczej odwrotnie, nie zawiera też ona pouczeń ani żadnych mędractw, jako że szczególnie w dziedzinie twórczości literackiej nie są one możliwe. Jeśli mają przynieść coś ponad przekonanie o zaręczalstwie odpowiedzialności. Jest czymś w rodzaju parlatorium gdzie piszący wiersze mogą się raz na dwa tygodnie spotkać by dowiedzieć się czegoś o przyjęciu ich tekstów. Może forma tej rubryki (wypowiedź z jednej strony) z czasem ulegnie zmianie? Może. W każdym razie chciałbym, by była jakaś tablica, by do końca zstraciła pozor odpraw, czy szkółki które to cechy jeszcze tu i tam są jej przypisywane. Nie dajemy wskazówek: rozmawiamy.

A. R. Lublin. Gawęda. Ale gawęda jest możliwa tylko jako lekst obszernej, rozległej, spacerulacji po wielu tematach. Nie można językiem sawdy napisać uwiel. „Karska La Fontaine”. Wątkowicza wzięta w dawce niewielkiej nie wywołuje zaciekawienia. Przynajmniej takiego, jak w rozmiarze rozdziału. Gawęda, owszem, ma swoje ułowa, ale w zamian za to musi synąć szczegółami, poszlakami, anegdotalami. Pał chciał skrzyżować z pierwszego się mając drugiego i w ten sposób wyszło brzośno. Sam przekaz autentyku nie wystarcza. Chce być albo przywołany gradem informacją, albo zainteresowany sposobem tzw. obróbki literackiej. Przerabiam bardzo: taka już jest natura czytelnika.

G. W. Gdańsk. „Pisze dla siebie”. To się w tym słowie od piszącego wiersze. Jest w tym prawda i nie ma w tym prawdy. Jest — bo wiersze musi zadzwonić przede wszystkim autora, w dodatku swego piszącego chronologicznie czytelnika, nie ma — bo samo pisanie, samo zabieganie o publikację jest ożyźniaczą podjętą ze względu na innych, choćby innych w minimalnej ilości. Nie chciałbym jednak owego „pisania dla samego siebie” deprecjować. Jest w tym uformuła postawa jakaś miła intymności. Świadczy, że poeta jeszcze nie dowiódł do produkcji przemysłowej, co jej mimo wszystko, w czasach dzisiejszych zagroza że zachwyci nas jeszcze „nawitny” kiesz, banalny słowik i „stereotypowy” bez, jakże często wysławiane przez ultra-nowatorów, a jeszcze oświecanej powoz. Dlatego — tak uważam — w tym anachronicznym stawianiu sprawy jest nawet jakieś akcent współczesności polemiczny. W tym znaczeniu, że wyraża chęć nie powrotu do minionego ale sprzeciw wobec mechanistycznych ułatwień współczesności. Przeczytałem z zadowoleniem. To mi ukazało, że poezja nie przestała być sprawą osobistą. Nawet z ryzykiem naiwności.

E. L. Lublin. Jest to normalne zjawisko. Młoda autorka najpierw pisze pięć, sześć, siedem wierszy, potem przeżywa głęboką rozterkę go z nimi zrobić, jeszcze potem wchodzi się na „swalecha odwagę” i wysyła do redakcji, ale sam list bez utworów. Zawsze to ostryżnił się „narażenie się” na twarz w twarz z „groźnym” redaktorem, który w dodatku może okazać się nieczuły na witalność wieku młodzieńczego. Ołóż zapomniałam Pania, że ktoś kto ma pięćdziesiąt lat, miał kiedyś siedemnaście. W dodatku odmowa drukowania nie jest równoznaczna z przekreśleniem indywidualności autora, ale wyrażeniem zastrzeżeń w stosunku do określonego tekstu. I nie należy się czuć zasmianą, jeśli jest to tekst pierwszy w życiu. Nie może przecież powiedzieć o wierszach bo ich nie otrzymał, ale sam list świadczy o pewnych dwuznacznościach literackich, które w przyszłości mogą zadowoć.

B. G. Kielce. Te wiersze mają typową wadę młodości: przesadną metaforyzację. Może nawet należałoby powiedzieć: nadmierną rozpiętość skojarzeń. Ostatecznie nie wszystko ze wszystkim da się zestawiać. Na sie tak, ale wtedy sens trzeszczy. Znajomość anatomii rzeczywistości — nie to się powinno wykazać w wierszu. Wtedy najsłabsze metafory w polskiej poezji. Zdumiewa w nich czasem aż naturalistyczna trafność, tak przytępia do rzeczywistości, która opisuje. Jeśli czytelnik musi chodzić po domysłach mozaikowych podziurki intencje autora, eubł się eale wrażenie. Ja przynajmniej wole przeszedł coś od autora bezpośrednio, niż wkładać w tekst sens domysłowy, co do którego w końcu nie mam pewności, czy jest przyjęty trafnie.

D. C. Gdynia. E. Z. Lublin, D. E. Biała Podlaska — nie skorzystamy.

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przzenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści pisarza radzieckiego którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 13 początkowych wyrazów pomocniczych. Pojedyncze czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami, a podwojne końcom zdań.

Wyrazy pomocnicze
46. 29. 11. 4. 73. 42. odwaga, waleczność.
98. 84. 112. 117. 82. 67. 139. 107. 31 — zapoczątkowanie, koncepcyjny wniosek.
5. 16. 22. 19. 8. 152. 98 — opiekun królewskiej piwnicy.
38. 156. 62. 78. 37. 23. 21. 13 — nauka o dziejach.
8. 69. 105. 61. 44 — odtwórca ról w teatrze.
25. 2. 83. 74. 146 — miasto w woj. siedleckim z fabryką obuwia.
3. 17. 87. 50. 124. 54. 28. 59. 33. 7. 38. 149 — szrenzenie osób prowadzące działalność gospodarczą.
12. 88. 34. 138. 108. 184. 32. 111 — film reklamujący nowy film.
15. 68. 133. 97. 94. 73 — prosty przyrząd do rysowania i pisania.
41. 64. 134. 159. 35. 71 — miasto słynne z folkloru w woj. skierniewickim.
18. 1. 89. 36. 92. 118 — reputacja.
26. 99. 37. 70. 79. 163 — miejsce kłóski wojsk S. Zółkiewskiego w 1620 r.
131. 77. 52. 101. 5. 113 — na końcu wędki.
66. 93. 115. 80. 132. 90. 148. 47 — jamy w czaszce, w których mieszczą się oczy.
58. 86. 166. 108. 150. 72. 162 — stolica Dolnego Śląska.
162. 48. 106. 95. 49. 137. 121. 46 — chirurgiczne leczenie.
91. 53. 126. 136. 83. 139. 127 — wyodrębniony zasób środków na określony cel.
81. 147. 118. 90. 56. 109. 43. 119. 151. 36 — daw-

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15
16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31
32	33	34	35	36	37	38	39	40	41	42	43	44	45		
46	47	48	49	50	51	52	53	54	55	56	57	58	59	60	61
62	63	64	65	66	67	68	69	70	71	72	73	74	75	76	
77	78	79	80	81	82	83	84	85	86	87	88	89	90	91	
92	93	94	95	96	97	98	99	100	101	102	103	104	105	106	107
108	109	110	111	112	113	114	115	116	117	118	119	120	121	122	
123	124	125	126	127	128	129	130	131	132	133	134	135	136	137	
138	139	140	141	142	143	144	145	146	147	148	149	150	151	152	
153	154	155	156	157	158	159	160	161	162	163	164	165	166	167	

na maszyna parowa, najczęściej przewoźna. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z Nr 21 był fragment „Przeputki do historii” Zbigniewa Zaluskiego:
„Szlaki, zalegali przyduszeni do ziemi lawina ognia, podnosili się szli znów przez brzośnistą Miereję, przez gładkie wzgorza, przez płonącą Tregubową.”

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu Nr 21 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Ewa Dąbrowska 20-709 Lublin Krasieńskiego 1932, Zofia Czarnaśka 21-186 3-go Maja 24/12, Tadeusz Trzaska 21-208, Parzew Kolejowa 48, Malgorzata Nowakowska 22-400 Zamość Hanka Sawickiej 96.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-961 Lublin).

listy do kamery

TELEWIZJA DZIECIOM

Bóg jeden wie, czym kieruje się kierownictwo naszej telewizji przy układaniu programu dnia czy tygodnia. Nie ulega przecież wątpliwości, że telewizja nie kieruje się interesem dzieci, które minęły pięćdziesiąt rok życia, a zatem potrafią już dość dobrze śledzić obserwować. Bo niby czym wutlumaczyc można fakt uwiecznienia w telewizji (mamie strachu) — fabularnie, o żywej akcji, a przy tym całkowicie nieodwołalych moralnie — północy wieczorem, ydziej po godzinie 22? Mała tego, nawet obywatel wyrażnie dudakłuczne niteo może za natone dla dorosłych, pokazuje się o tej porze, kiedy dzieci już śpią. Mam tu na swadze „Bajkownicy” sprzed kilku tygodni i „Sierżant Yorka” z 24 października — filmy typowo młodzieżowe, lecz pokazane bardzo późno.

Może nie pisalbym tego listu, gdyby nie inne zjawisko, towarzyszące opisaniu. Ołóż telewizja dość często — na ogół w programie drugim ale nie tylko — prezentuje filmy o znacznie rozbudowanych wątkach erotyczno-obyczajowych, prezentuje je wczesnym popołudniem, kiedy dzieci uracają ze szkoły. Nie jestem przekonana czy najlepszą dla nich „strawą duchową” był np. „Ułmich nocy” z 22 października, uwieczniony w ramach politycznego skądś nad kultu „Latarnia czarnokształka” Ja rozumiem, że dużo się robi: oby dzieci uwzględnić z utaru w bołaniu, ale nie widzę powodu dla jednoczesnego uwielerza-

„ANI TOBIE SIĘ KTOŚ UKLONI...”

Wanda Metera
Puławy

Kilka krótkich zdań chciałbym dorzucić na marginesie artykułu T. Jasińskiego „Ani tobie się ktoś ukloni...”, zamieszczonego w Nr 21 „Kamery” z bieżącego roku. Jestem przekonany, że problem ludzi starych, a przy tym samotnych lub chorzy, nie dorzeża się zdecydowanego rozwiązania, jeśli pełna para nie ruszy w nas budowa domów spokojnej starości. W ostatnich latach rozwijamy także budownictwo — w sposób chyba bezprecedensowy — ale i tak spora pozostała do odrobienia. A ponadto uczymy wiedzę, że wszelkie inwestycje służby zdrowia ciągną się wyjątkowo opieszale, co tylko częściej daje się wutlumaczyc „specyfiką tego typu budownictwa”. Permanentnie nawalają tu sami budowlanci. Mówi się na przykład w środowisku lubelskiej służby zdrowia że nadbudowa domu rencisty na Wodlinie pociągnie się lat kilka, zamiast jednego roku czy kilkunastu miesięcy. Potrzeby starych ludzi to nie jest żadna presja dla budowlanych, którym się pięćdziesiąt lat młodzi i siłni ludzie.

„HISTORIA-PIŚMIENNICTWO CZY PISARSTWO?”

Józef Kalinowski
Chełm

Interesująca impresja Bronisława Seniuka na temat historii jako nauki i przedmiotu, wykładanego w szkole („Kamera” nr 21 z br.) skłoniła mnie do za-

brania głosu na temat podobny, choć złączony z innym terenem. Otóż opłdając i słuchając w telewizji żartobliwych przechodzących w kłótnie dyskusji naszych historyków (cykl „Prawy i legendy”) można dojść do wniosku że w historii nie peicnego, że tyle tam prawd, ilu badaczy. Szczególnie przesła prezentują się panie — historyczki, które w miast przypowieści „strzyżono — polono” mają odmienne zdanie.

Mnie, że w duszy naszej historiografii jest jakieś wradne, chore miejsce. Czy jest to choroba, która oderwał prof. Stefan Kleniewicz na łamach „Polityki” i „Kultury”?

„POLITECHNIKA LUBELSKA”

Informuję was, że dzięki numerowi z 18 października br. dowiedziałem się o przemianowaniu Wuzszej Szkoły Inżynierskiej na Politechnikę Lubelską. Przebypałem kiedyś w Lublinie i kontaktowałem się z wykładowcami WSI, więc wcieczyła mnie wiadomość o zmianie nazwy. Przy okazji chciałem przypomnieć, że politechnika istniała już kiedyś w Lublinie: zaraz po wojnie, jako Politechnika Warszawska in statu nascendi. Serdecznie wite pozdrawiam.

Karol Holan
Ostrawa
Czechosłowacja

OSZCZĘDZAJMY PAPIER

W Warszawie bilety komunikacji miejskiej są tak zaprojektowane, że służą do dwukrotnego użytku: raz przejeżdżając je z jednego końca drugi raz z — drugiego. Proponuję wprowadzenie takich biletów w całym kraju, aby oszczędzić wiele ton papieru, jakże dziś kosztownego, i czas pasażerów.

Irena Kowalczyk
Lublin

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski.

Redaguje zespół: Maria Bechezyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni, (sekretarz redakcji), Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelnny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Irena Komasa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata za kraj przyjmuje Oddział RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny.
— do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78.—
Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH”.

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratery indywidualni, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub w doręczycieli.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” Centrala Kolportażu i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-888 Warszawa, konto PKO nr 1501-71 w terminach podanych dla prenumerat krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-16.

Wydawca RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im PKWN, Unicka 4. Zam. 2745, J-4.

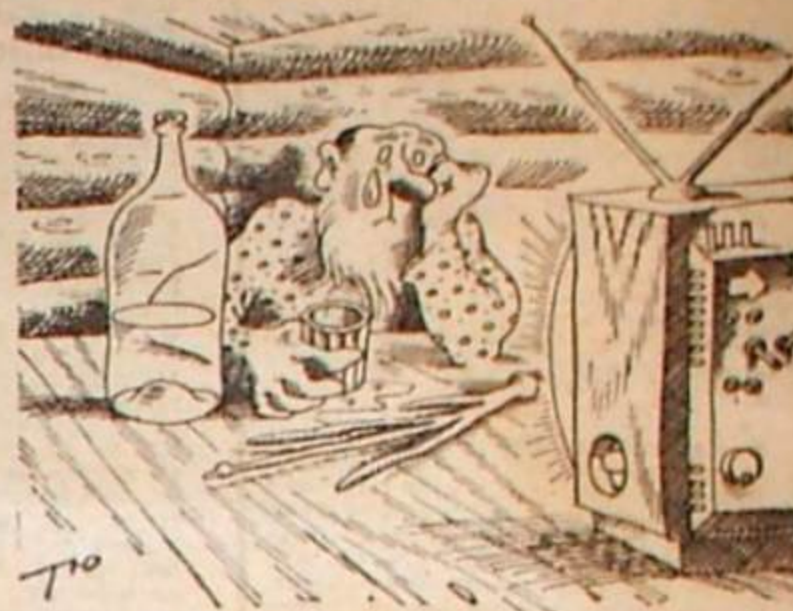
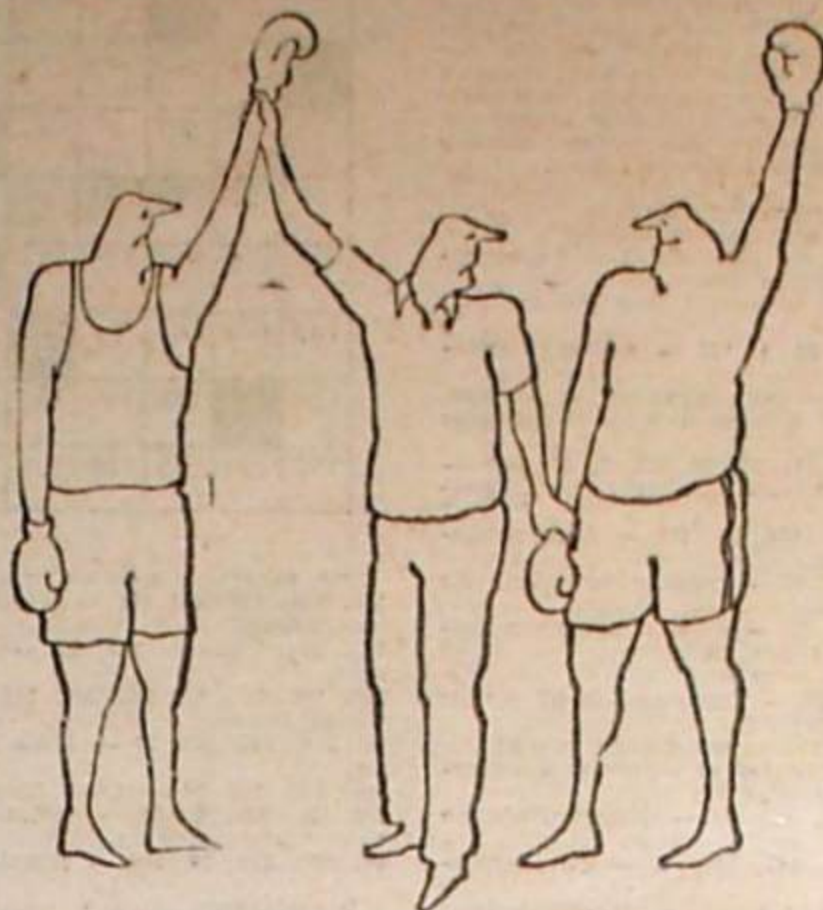
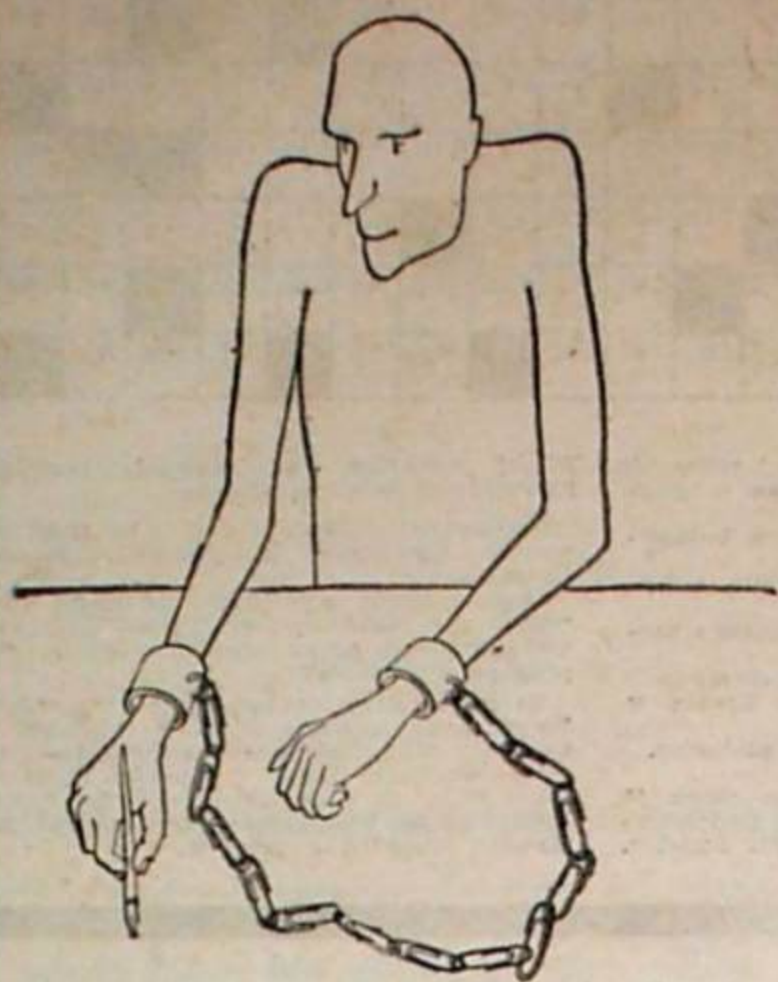
Numer łamali Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul Skłodowskiej 2/1
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, z-ca red. nacz. działu publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; pocztowo I ekspresowe — pod adresem redakcji.

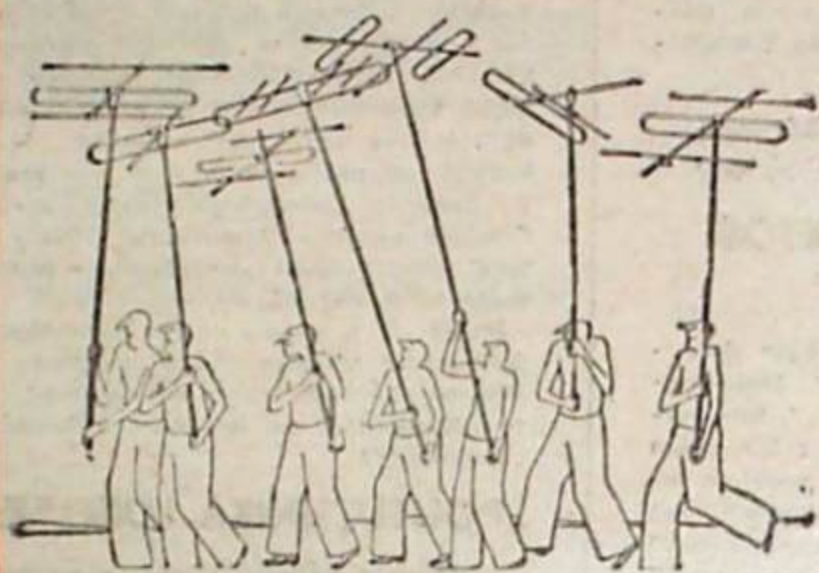
Nr indeksu 3000

Karykatura radziecka

Borys Pietruszanskij



Siergiej Tiunin



NOTY O AUTORACH

Borys Pietruszanskij urodził się w 1947 r. W 1974 r. ukończył Leningradzki Instytut Teatralny. Pracuje w teatrze, w filmie i w telewizji. Zajmuje się grafiką książkową, prasową, plakatami. Był uczestnikiem wielu międzynarodowych wystaw karykatury. Na niektórych z nich był nagradzany (w Jugosławii, w Bułgarii i we Włoszech). Publikuje swoje rysunki w wielu czasopiśmiech radzieckich.

Siergiej Tiunin urodził się w 1942 r. Nie od razu zdecydował się zostać karykaturzystą. Po ukończeniu instytutu przez trzy lata pracował jako malarz artysta. Wciąż nie decydował się zająć satyrą. Karykatury same rozstrzygnęły to zagadnienie, one po prostu pojawiły się w jego twórczości. Dopiero kiedy redakcja czasopisma „Smiena” przyznała mu nagrodę w 1972 r., zaczął tworzyć karykatury. Następnego roku został laureatem konkursu „Litteraturnej Gazety” na „Złote ciele” oraz dwóch konkursów międzynarodowych w Jugosławii. Otrzymał też nagrodę karykaturzystów „Kłębek ze złota szprychy”. Ostatnio został laureatem tegorocznego światowego biennale karykatury w Gaborowie (Bułgaria).

Obaj wraz z Priletem Pärnem wystawili niedawno swe prace w olsztyńskim Klubie MPIK. Chętnie zobaczymy je i w Lublinie.

Casanova. Pamiętniki rys. Krystyna Wojcik



PRZYBYWA Z PADWY, GDZIE STUDIOWAŁ. - TAKĄ FORMUŁĄ PRZEDSTAWIA NO MNIE...

...CO POZWALAŁO MI UMIZGAĆ SIĘ DO JEJ SIOSTRZENICY ANGELI... ZADAŁA, ABYM PORZUCIŁ SUTANNE I OZENIK SIĘ Z NIA!

...LECC NA TRZECIE WESJC I CZEKAĆ NA NAS... DIETRO I CZEKAŁEM.

PROBOSZCZ JOSELO UDZIELIŁ MI CZTERECH MNIEJSZYCH ŚWIECEN...

...SIOSTRZY NANETTE I MARTON BYŁY JEJ PRZYJACIÓLKAMI... NANETTE WRE... CZYŁA MI BILECIK!

WESZY OBIE SIOSTRY I MOJA ANGELA... PRZYGARNAŁEM JĄ I DWIE GODZINY PRAWIŁEM DUSERY...

- MAM WYBRAĆ MÓWCE NA DRUGI DZIEŃ ŚWIAT - ZAMIE - RZAM WYZNACZYĆ CIEBIE!

JESTEM GOTOWA NA WSZYSTKO, ABY ODDAĆ PRZYŚLUGĘ ANGELI... CIOTKA ZAPROSIŁA PANA... PROSZĘ POZEGNAĆ JĄ... JEDNAK NIE WYCHODZIC...

...WYGŁOSIŁEM MOJE KAZANIE - OKLASKIWANO MNIE SZCZODRZE - W SAKIEWCE, DO KTOREJ SKŁADA SIĘ DATKI DLA KAZI... ODZIEI, ZAKRYSTIAN ZNALAZŁ PIĘCDZIESIĄT CEKINÓW I... PARĘ BILECIKÓW MIŁOSNYCH!... PRZESIADYWAŁEM CZĘSTO U MEGO PROBOSZCZA, ZASIĘGAJĄC JEJ RADY...

...NANETTE POWIADA, ŻE MAJĄ TYLKO JEDNĄ ŁOŻÓWKĘ I ZA CHWILĘ, POZOSTANIEMY W CIEMNOŚCI...